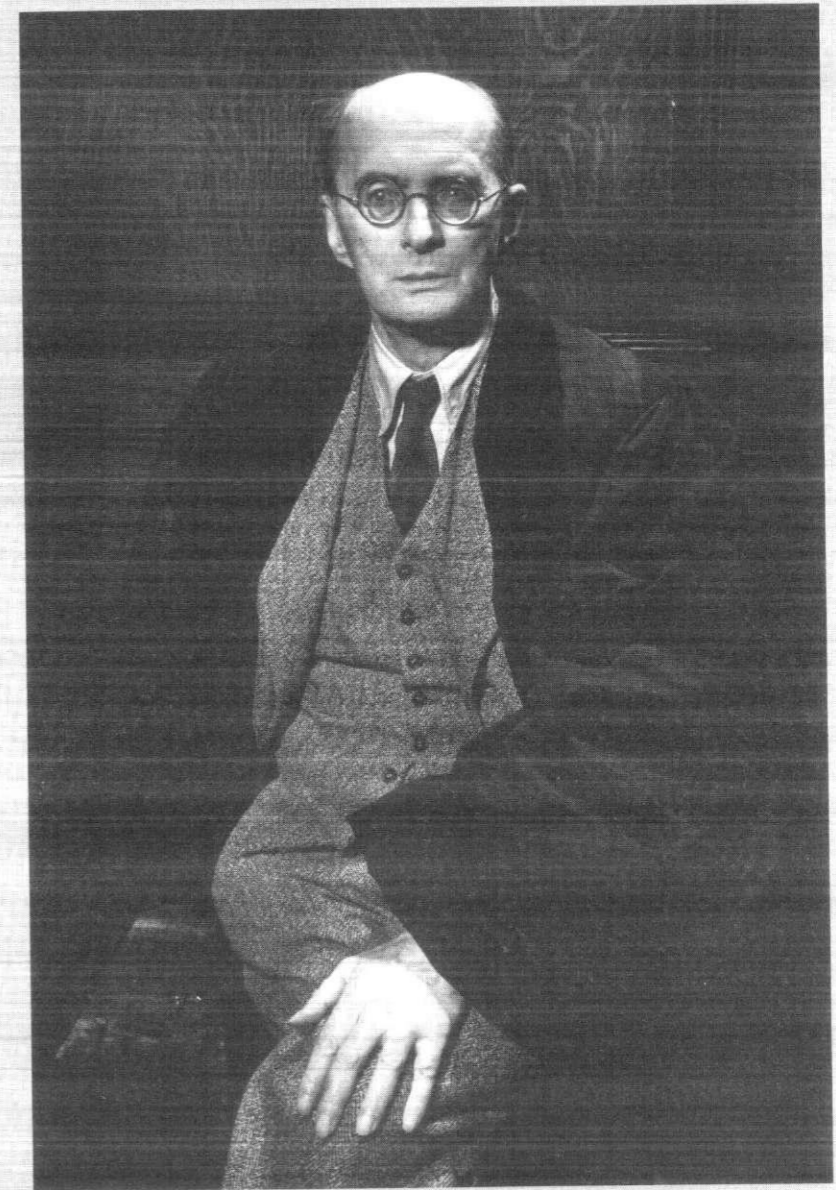




# Bronisław Malinowski





## Bronisław Malinowski, *Dzienniki 1914-1918*

### Wstęp

„Wyobraź sobie czytelniku, że znalazłeś się nagle z całym swym ekwipunkiem, sam na tropikalnej plaży w pobliżu wioski tubylczej, podczas gdy statek czy łódź, która cię tu przywiozła, odplywa i znika na widnokręgu”<sup>1</sup> – te, najczęściej chyba cytowane w pracach antropologów, słowa, pochodzą ze wstępu do *Argonautów zachodniego Pacyfiku*, ale wbrew pozorom nie dotyczą początków wyprawy na Trobriandy, lecz na wyspę Mailu, na której spędził Malinowski kilka początkowych miesięcy, co stało się podstawą napisania pierwszej monografii *The Natives of Mailu*.

Fragmenc dziennika, który poniżej prezentujemy, zaczyna się lądowaniem w Port Moresby na Nowej Gwinei 12 września 1914 roku. Miesięczny tam pobyt, upłynął Malinowskiemu na poznawaniu nowego otoczenia, zachwytach nad pięknym krajobrazem, obserwowaniu samego siebie i umiejętności funkcjonowania w tropikach, a także na wstępnych pracach badawczych. Donosił o tym swemu mentorowi i przyjacielowi George'owi Seligmanowi w swym pierwszym liście: „Jestem wreszcie na Ziemi Obiecanej – i jak na razie znajduję ją we wszystkim lepszą i obiecującą większy sukces, niż bym się kiedykolwiek spodziewał... Jak na razie wykonuję wiernie twoje zalecenia i czekam na pierwszą możliwość wyruszenia na wschód na Mailu, gdzie chcę osiąść na pierwszy okres moich badań. Uczę się Motu i pracuję z Ahuią Oval, z którym ty zacząłeś, a potem kontynuował Barton i inni, i który stał się żarliwym antropologiem (nawiasem mówiąc, powinien zostać honorowym członkiem R[oyal] A[nthropological] I[nstitute]). W każdym razie uczę się dużo, jeśli chodzi o techniki badawcze i z ufnością stawiam czoło przeszłości – nawet w przypadku gdy nie będę mógł znaleźć tłumacza w połowie tak dobrego jak Ahuia... Zauważyłem, że badanie i opis szczegółów technicznych (technologii) jest trudniejsze niż cokolwiek innego. Kiedy ten list do ciebie dotrze, będziesz pewnie wiedział, jak się rzeczy mają z moimi dalszymi funduszami. Jestem teraz bardziej skłonny do przedłużenia pobytu tutaj, niż byłem przedtem. Oczywiście nie wypróbowałem jeszcze swych sił i nie pracowałem na swój rachunek; tutaj jestem ciągle prowadzony przez ciebie i przechodzę coś w rodzaju praktycznego treningu w twojej szkole. Mam jednak konkretne wyobrażenie o tym, jak będą wyglądać trudności i bardziej niż przedtem dowierzam samemu sobie”.<sup>1</sup> W dzienniku zaś już po dwóch tygodniach pobytu na Nowej Gwinei sformułował główne zastrzeżenia do swej pracy, które stały się podstawowymi zalecenia-

mi jego późniejszej metody intensywnych badań terenowych: „1. mam dość mało do czynienia z dzikimi na miejscu; za mało ich obserwuję; 2. nie mówię ich językiem”.

Gdy dotarł na Mailu w połowie października, okazało się, że nie bardzo może liczyć na pomoc misjonarza Williama Saville'a, z różnych zresztą powodów, i musiał liczyć głównie na własne siły, o czym pisał w dalszym fragmencie cytowanych już *Argonautów*: „Ponieważ zapewne zamieszkaż w domu jakiegoś białego człowieka, kupca czy misjonarza, nie pozostaje ci nic innego, jak przystąpić od razu do swojej etnograficznej pracy. Wyobraż sobie ponadto, że jesteś badaczem początkującym, nie masz żadnych poprzednich doświadczeń ani niczego, co mogłoby ci służyć jako przewodnik, ani nikogo, kto mógłby ci pomóc, biały człowiek jest chwilowo nieobecny lub też nie może czy nie chce poświęcić ci ani chwili czasu. Tak właśnie wyglądały początki mojej pracy terenowej. Doskonale pamiętam owe długie wizyty w poszczególnych wioskach podczas pierwszych tygodni; to uczucie beznadziejności i rozpacz po wielu uporczywych, ale bezowocnych usiłowaniach, które wcale nie doprowadziły do nawiązania rzeczywistego kontaktu z tubylcami, ani też nie dostarczyły mi żadnego materiału. Miewałem okresy zniechęcenia, kiedy to pogrążałem się w czytaniu powieści jak człowiek, który zaczyna pić w napadzie tropikalnej depresji i apatii”.<sup>2</sup>

Lekarstwem na ten stan była często kontemplacja natury. Przez cały dziennik przewija się bardzo silny motyw kontaktu z przyrodą, który nie tylko angażował go emocjonalnie, ale skłaniał ku prawdziwie literackim popisom w manierze młodopolskiej, dzisiaj często nieznośnej, jak w tym fragmencie: „(...) niewątpliwie czuje, jak między mną a tym krajobrazem zadzierzguje się węzeł. Spokojna zatoka, widziana poprzez ramy bujnych gałęzi mangrowca, odbijającego się w zwierciadle wody albo wilgotnej plaży; blask purpurowy zorzy zachodniej przenikający wnętrza gaju palmowego, powlekający płomiennym żarem spalone trawy, ślizgający się po głębokim szafirze wody – wszystko przepojone obietnicą pracy skutecznej i nieoczekiwanego powodzenia; wydaje się rajem w porównaniu z potwornym piekłem, którego się tu spodziewałem”.

Z rzadka absorbują badacza myśli o wojnie w Europie, choć czasami pisze on tak: „Odrywam oczy od książki i ledwo wierzę, że oto jestem wśród dzikusów neolitycznych, i że siedzę sobie tu spokojnie, podczas kiedy t a m dzieją się rzeczy straszne. Chwilami mam impuls modlenia się za Matkę. Bierność z poczuciem, że gdzieś daleko poza zasięgiem wszelkich możliwości działania dzieją się rzeczy potworne są nie do zniesienia”.

Polszczyzna, którą się posługuje Malinowski, staje się coraz bardziej zaśmiecona anglicyzmami i to nie tylko określeniami, których polskich odpowiedników mógł nie znać (jak outfit, outrigger, dugout), ale coraz częściej pojawiają się spolszczone czasowniki, świadczące już tylko o językowym lenistwie (bully'jący, enjoyuje, dropuje). Jest to oczywisty wynik przebywania wyłącznie w towarzystwie mówiącym po angielsku, co najwyżej jeszcze – pidgin english.

Prezentowany fragment kończy się zapisem z 17 stycznia 1915 roku. Jak zawsze pozostawiamy oryginalną pisownię i interpunkcję, wszelkie moje ingerencje oznaczone są nawiasami kwadratowymi. Znak [?] oznacza miejsca nieczytelne. Część przypisów sporządziłam na podstawie opracowania redakcyjnego *A Diary in the Strict Sense of the Term*. Zdjęcia zacerpnęliśmy z filmu Jerzego Domaradzkiego *Szlachetny dzikus*, za udostępnienie których autorowi serdecznie dziękujemy.

Grażyna Kubica-Heller

#### PRZYPISY

<sup>1</sup> B. Malinowski, *Argonauci zachodniego Pacyfiku, Dzieła*, t. 3, PWN: Warszawa 1987, s. 31

<sup>2</sup> Cyt. za M. Young, *Malinowski Among the Magi*, Routledge, London and New York 1988, s. 7

<sup>3</sup> Malinowski, *Argonauci*, s. 31-32

c.d. 1.IX.14

Po lunchu wychodzę na pokład. Jazda rzeką przypomina mi wycieczkę z Désiré i innymi Assami. Eurypides leży poniżej olbrzymiej rzeźni. Rozmawiam z fellow-pasażerami. Płaskie brzegi rzeki rozszerzają się nagle. Naokoło horyzon[t] objęty pagórkami: od zachodu i południa łąd, od wschodu wyspy. Na Płn. Zach. Nizina i z niej wznoszą się dziwne i malownicze formy Glasshouse Mountains. Patrę na nie przez szkła; przypominają wycieczkę Sobotnią do Blackall Ranges.

Po obiedzie – przedtem jeszcze patrę, jak statek wyjeżdża poza wyspę, morze coraz gorsze, statek coraz b=ej kołysz. Statek kołysz silnie, idę do kabiny i zasypiam po zastrzyknięciu Alkarsodylu. Cały następny dzień spędzam w kabinie, drzemiąc, z silnym bólem głowy i ogólnym przytępieniem. Wieczór gram w karty z Lambem, kapitanem i Mrs. McGrath.

Następnego dnia lepiej; czytam *Riversa* i gramatykę *Motu*<sup>1</sup>. Sztama z *Taplinem* i tańce z *Mrs. McGrath*. Ten stan trwa ciągle. Śliczne morze zielone; nie widzę całkiem rafy koralo-

wej. Mnóstwo wysepek po drodze. Chciałbym zostać wtajemniczonym w zasady żeglugi, ale kapitan mnie peszy. Cudne noce księżycowe. Morze mi się b. podoba i żegluga staje się czemś niezmiernie sympatycznym. W ogóle przy wyjeżdżaniu z Brisbane mam silne poczucie, że jestem kimś, że jestem jedynym z notablów kompanii, w której podróżuję.

Nadzieja na wycieczkę w Cairns. Z Brisbane wyjeżdżamy w Sobotę 5.IX.14. Do Cairns dojeżdżam we Środę 9.IX. Śliczna zatoka; widziana w rannym zmierzchu. Z obu stron wysokie góry; zatoka między nimi (przechodzi w) [dopisek:] wciną się szeroka, przestronna dolina daleko w głąb łądu. Płaskie brzegi u stóp gór i na końcu zatoki porośnięte jasnozielonym gąszczem mangrowców. Góry we mgłę i deszczu, który wciąż przesuwa się po stokach, przechodzi nad doliną i morzem. Na łądzie wilgotny, duszny żar tropikalny. Miasto małe, marne. Ludzie napiętnowani [?] tropikalną. Po nieudalym ataku na dworzec i po wysłaniu paru listów, idę na spacer brzegiem morza po plaży zwróconej na wschód. Szereg wcale ładnych domków w tropikalnych ogrodach, w których olbrzymie purpurowe kwiaty hibiscusu i kaskady Bougain-

willi płoną gamą silnych pasów wśród ciężkiej zieleni wypolerowanych liści. Robię parę zdjęć. Idę powoli; czuję się b. ociężały. Obozowisko aboryginów; gąszcze mangrowców; rozmowa z Chińczykiem i z Australczykiem, od którego nie mogę wydobyć absolutnie żadnej informacji. Po lunchu nieudale poszukiwania dryndy do pepinjery. Popoł. czytam *Riversa*. Wieczór gromada pijanych drani. Wizyta Moskala pijanego i Polaka. Porada lekarska u Moskala. Ptaki rajskie, przeszwarcowane przez Moskala. Wracam i czekam na Montoro. Pijany Lamb. Idę z Fergusonem na brzeg i tam czekam. Montoro powoli przysuwa się do brzegu. Widzę Haddonów, Balfoura<sup>2</sup>, Mme. Boulanger, Alexandra, Miss Crossfield i Johnsona. Znowuż doznaję sentymentalnego rozczarowania i speszenia. Po kwadransie rozmowy zegnają się ze mną i idą spać. I ja także. Aha, ten czas zaplugawiony czytaniem powieści *Ridera Haggarda*<sup>3</sup>.

W Czwartek, po kiepsko przespanej nocy, czuję się fatalnie wobec silnego kołysania. Rzygam śniadanie, kładę się do łóżka i rzygam jeszcze dwa razy. Wieczór spędzam na pokładzie w ciemności w towarzystwie całej kompanii, która śpiewa angielskie piosenki.

Piątek 11.IX. taki sam – nie mogę nic robić nawet gramatyki Motu. Wieczór trochę pakuję.

Sobota 12.IX. przyjazd do Nowej Gwinei. Rano widać z daleka zamglone góry. Wśród chmur kontur b. Wysokiego grzbietu, niżej szereg innych grzbietów. Nad morzem skały nieurodzajne. Wiatr całkiem chłodny. Przed brzegiem rafa koralowa. Wreck *Merry England*<sup>4</sup> po prawej ręce. Wzgórza za którymi kryje się Pt Moresby. Jestem b. zmęczony i wyjałowiony, tak, że pierwsze wrażenia dość niewyraźne.

Wjeżdżamy w port i czekamy na doktora. Wizyta tłustawego, niesympatycznego bruneta. Zostawiam rzeczy w kabini i idę na ląd z Mrs. Mc Grath. Wizyta u Mrs. Ashton. Potem u Mr Champion<sup>5</sup> – telefonuję do Governora<sup>6</sup> [Gubernatora]; potem Jewell; potem Stamford Smith<sup>7</sup> od 12 – 4=tej. Potem sprowadzam część rzeczy ze statku. 1.[pierwszy] wieczór idę spać b. wcześniej i śpię długo, jakkolwiek marnie.

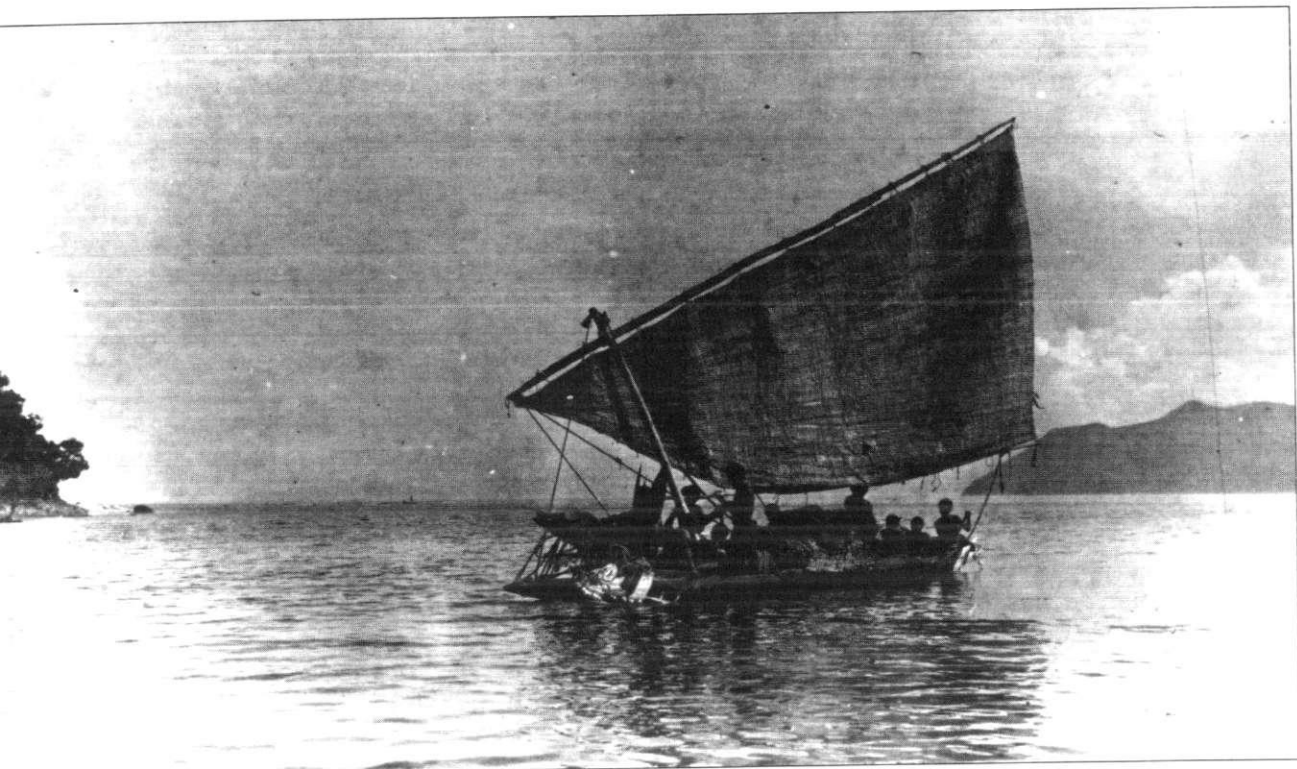
Niedziela rano: idę do Zakładu Stamforda Smitha i tam czytam Reports. – W ogóle biorę się do roboty dość energicznie. O 1=szej wsiadam do łódki i jadę do Government House'u [Gubernatorstwa]. Załoga dzikusów o kędzierzawych głowach w mundurach rządowych daje mi poczucie „Sahibowatości” [sahib (hind.) – pan] w b. wysokim stopniu.

Ogólny nastrój pierwszych godzin: zmęczony długą chorobą morską i 1.[pierwszym] napadem upału, czuję się dość przytłamszony. Ledwo wlekę się pod górę do Mrs. Ashton. P=t Moresby przedstawia mi się w specyficznym oświetleniu miejscowości, o której się dużo słyszy, do której przywiązuje się wielkie nadzieje, a która jest zupełnie inna, niż się spodziewało. Widok z werandy Mrs. Ashton: wprost dość stromy brzeg – pokryty kamieniami i zeszlą, rzadką trawą i zawalony śmieciami – schodzi dość stromo ku morzu. Morze, wcinające się głęboką, kolistą zatoką o wąskim wejściu leży spokojne i lazurowe, odbijając wiecznie pogodne niebo. Z przeciwnej strony widać pasma wzgórków, niezbyt wysokich, dość różnorodnych w kształcie, spalonych słońcem. Na najbliższym planie stożkowaty pagórek stoi u wejścia do dalszego rozgałęzienia, wciskającego podwójną zatoką w głąb lądu. Na prawo bliski pagórek zasłania widok na wioski krajowców i Government House. Tam leży dla mnie główny akcent pejzażu – tam leży kwintesencja tego, co widzę. Nad

brzegiem biegnie szeroka dość ścieżka koło stacyi telegrafu bez drutu poprzez gaje palmowe, płytką plażą, na której z rzadka rosną mangrowy [namorzyny], do wiosek krajowców. Przez cały 1. dzień nie poszedłem tam. Rozmowa ze Stamfordem Smithem i widok na śliczną zatokę, położoną po drugiej stronie ishmui.

W Niedzielę 13. jadę (ut supra) do Gov[ernmen]t House'u. Siostrzeniec Gubernatora spotyka mnie w pół drogi. Ścieżka idzie wśród palm kokosowych, popod olbrzymim fikusem; potem zakręca i popod dawnym Gov[ernmen]t House'm idzie do nowego. Governor Murray wysoki, trochę pochylony, barczysty mężczyzna; b. podobny do wuja Staszewskiego. Sympatyczny, spokojny i trochę kostyczny i nie wychodzący ze skorupy. Lunch; dwóch półnagich boy'ów usługuje. Potem rozmawiam z Gubernatorem i Mrs. De Righi, kobyłowatą, poczciwą Australką, która odnosi się do mnie z życzliwością osoby niższego statusu społecznego. H[is] E[xelency] daje mi list do O'Malley'a. Idę tam. Domek wśród palm, położony poniżej Gov[ernmen]t House'u. Grubas dość niski, ogolony, przypomina trochę Sękowskiego, mocno en beau [z dodatniej strony]. Sprowadza Ahuię<sup>8</sup>. Governor & Mrs. De Righi przychodzą. We trójkę idziemy do wioski; poraz pierwszy ją widzę. Wchodzimy do domku Ahui. Parę kobiet tylko w spódniczkach z trawy. Pani Ahuiowa, Gooba, w moherskiej sukni. Ja i Murray rozmawiamy z Ahuią, Mrs De Righi z Goobą; oglądamy gourdy [tykw] z [?] do żucia betelu. Gooba daje jeden w prezencie Mrs. De Righi. Potem idziemy we czwórkę wzdłuż wioski; wpada mi w oko dubu<sup>9</sup>, zbudowane świeżo 1904 w Hahodai i parę domków zupełnie nowych, żelaznych, wpakowanych między starymi chałupami. Nie dochodzimy do Elewali; wracamy z popod misyi londyńskiej. Żegnam się z Gub[ernatorem] i Mrs. D[e] R[ighi]. Chłopcy z łódki łapią mnie. Wracam łódką i daję napiwek 2/. Nocą już idę do Pratta<sup>10</sup>. Acha, poprzedniego dnia poznałem w Hotelu Ryana<sup>11</sup>, Bella<sup>12</sup>, który mnie zaprasza na kolację w Poniedziałek. Wieczór u Prattów: Bell, Stamford Smith, 2 córki Pratta i p. Prattowa. Rozmowa o wycieczkach panien, o boy'ach itp.

Poniedziałek 14 idę do judge'a Herberta<sup>13</sup> i pożyczam Ahuię na cały dzień. Idę z Ahuią i Lohią koło 11=tej i zbieram trochę informacji. Potem idę do Gov[ernmen]t House'u i tam czekam strasznie długo na lunch. Dopiero koło 3=ciej schodzę do wioski. Tam w domku Ahui zgromadzenie mężów starych, którzy przyszli tam, ażeby mi dać informacje. Siedzą rzędem pod ścianą, w kucki, kudłate łby na ciemnych kadłubach, ubrani w stare podarte koszule, jegery mocno przechodzone, kawałki mundurów kakowych – z pod których to ubrań cywilizowanych wygląda sihi, przepaska pokrywająca łędźwie i przykrywająca części ciała. Faja bambusowa cyrkuluje żywo. Trochę speszony tym konklawe siadam do stołu i otwieram książkę. – Zbieram informacje co do idahu<sup>14</sup>, genealogie; kwestye co do głównego naczelnika wsi itp. Wieczór, starzy się rozchodzą; Lohia i Ahuia się zostają. Idę spacerem aż do Elewali. Wracam już o zmierzchu. Cudne zachody słońca; chłodno; czuję się wypoczęty; niezbyt wyraźnie i silnie, ale niewątpliwie czuję, jak między mną i tym krajobrazem zadzierzguje się węzeł. Spokojna zatoka, widziana poprzez ramy bujnych gałęzi mangrowca, odbijające się w zwierciadle wody albo wilgotnej plaży; blask purpurowy zorzy zachodniej przenikający wewnątrz gaju palmowego, powlekający płomiennym żarem spalone trawy, ślizgający się po głębokim szafirze wody – wszystko przepojone



obietnicą pracy skutecznej i nieoczekiwanego powodzenia; wydaje się rajem w porównaniu z potwornym piekłem, którego się tu spodziewałem. W Poniedziałek wieczór: Chignell, poczciwy misjonarz nie mający pojęcia o krajowcach, ale w ogóle mówiący sympatyczny i cywilizowany.

We Wtorek pracuję z Ahuią rano w Central Court [Głównym Sądzie], po południu idziemy do wioski. Dostaję mój pierwszy napój kokosowy. Wieczór (?)

We Środę idę rano, ażeby się spotkać z Murrayem (siostrzeńcem). Tymczasem jego nie ma. Po południu opracowujemy mój outfit [ekwipunek]. Potem z Ahuią, dość słabo. Rano objam się około duany.

We Wtorek wieczór tańce u pp. McGrath. We Czwartek z Ahuią w domu. W Piątek idę z Ahuią do wioski i planujemy wycieczkę w głąb na Sobotę. Telefonuję do Murray'a. Jestem już znacznie bardziej przemęczony. Wracam do domu, fraczę się i wieczór u Gov=nora b. nudny. Stara lafirynda i młoda Herbertówna, zajęta Murray'em.

W Sobotę rano jestem dość zmęczony. Konno do wioski. Speszenie brakiem przewodnika, którego Ahuia miał mi zostawić. Idę do Murray'a i on sprowadza mi Doun'ę który miał na mnie czekać. Pośród willi położonych w Kanadowa – potem wśród paru ogrodów, należących do mieszkańców Hanuabada, wchodzimy w wąską dolinkę. Pandanusy [pochutniki]i drzewka gatunku Cykas [sagowce], z rzadka wśród spalonej trawy. Tu i ówdzie zupełnie dziwaczne drzewa. Poczucie radości i rozkoszy, że jestem w niezmiernie ciekawej tropikalnej okolicy. – Dość stromo wspinamy się pod górę. Mam dość dużo do roboty z kobyłą, która chwilami staje w miejscu. Pod koniec schodzę. Na szczycie wcale ładny widok na wewnątrz. Ten sam charakter: głównie eukalipty; cykasy i podanusy. Zjeżdżam na dół obok płotów, otaczających ogrody krajowców, dolinką. Poprzez poprzeczną dolinkę, w której] olbrzymia trawa okrywa mnie razem z koniem. Spotykamy Ahuię. Baby z workami siatkowymi; paru nagich dzikusów z włócznie. La Oala, wódz Kahanamona Iduhu. Zapalają ogień w paru miejscach. Cudowne widowisko. Płomień czerwony, miejscami purpurowy pelza wąską wstęgą po zboczach pagórka; poprzez ciemny, błękitny lub szafirowy dym mieni się jak ogień czarnego opalu, przeświecające przez połysk stalowy powierzchni. Ze wzgórze, stojącego przed nami, schodzi w dolinę, chwytając wysoką, silną trawę i szalonym huraganem blasku, żaru i huku sunie wprost na nas. Przed nim wicher jak szalony śmiga niedopalone szczątki; ptaki i świerszcze lecą chmurą. Idę naprzeciw płomienia. Cudownie – zupełnie jak jakaś szalona katastrofa pędząca wprost na mnie z szaloną szybkością. – Polowanie nie zwieńczone żadnym skutkiem. Idziemy do ogrodu Ahui do Hohola. 1.[pierwszy] raz widzę z bliska ogrody otoczone parkanem z patyków; banany, trzcina cukrowa i liście taro i boniatów. Przychodzimy do ogrodów Ahui. 3 domki. Kładę się zmęczony na werandzie jednego. Lekcja z Goobą. Parę przystojnych kobiet; jedna zwłaszcza w fioletowym kaftanie. Obchodzę z Ahuią jego ogród i oglądam wewnątrz domków. Żałuję, że nie zabrałem ze sobą tytoniu i cukierków; to mi utrudnia bezpośrednie zbliżenie się do publiczności. Wracając przejeżdżam obok natiwów ćwiartujących wallaby. Potem jadę laskiem, przypominającym niezmiernie silnie bush Australijski. Z rzadka eukalipty i cykasy wśród spalonej trawy. – Po paru milach czuję wyraźne zmęczenie i drętwienie lewej nogi. Wyjeżdżam na drogę i peszy wielką odległość od miasteczka. Nie mogę się rado-

wać pejżażem, chociaż jest on niewątpliwie ładny. Droga wiję się po stoku wzgórze wśród zarośli i palm. Jadę wśród cywilizowanych domków krajowców (Malayów, Polinenezyczyków) (?). Jadę stępą przez miasto (galopuję plażą). W Gov=House przypatruję się tenisowi i piję piwo. Wracam piechotą b. zmęczony. Wieczór siedzę w domu i zaczynam pisać dziennik.

W Niedzielę 19.IX. rano śpię długo. Potem piszę listy. – Po obiedzie, zmęczony śpię 2 godziny. Potem znów piszę listy i krótki spacer na drogę do wioski. Wieczór djabeł mnie namawia żebym poszedł do D=ra Simpsona. Idę w złym humorze i zupełnie odretwiąły. Wolno wspinam się pod górę. Tam muzyka przypomina mi dużo rzeczy. Rozenkawaler; tango; Blue Danube. Tańczę tango bezskutecznie i walca z Mrs. McGrath. Chwilami chwytam mnie chandra.

Dziś w Poniedziałek 20.IX.14. rano dziwny sen: polucja homoseks. ze swoim sobowtórem jako partnerem. Dziwne autoerotyczne uczucia: poczucie, że chciałbym mieć właśnie takie usta do całowania, takie zgięcie szyi, taki profil czoła. Wstaję; zmęczony; zbieram się powoli. Idę do Bella, z którym rozmawiam o native labour. Potem z Ahuią w C[entral] C[court]. Po lunchu znów z Ahuią. Potem raportuję się u O'Malley'a, z nim do McCranna. Wracam do domu, piszę listy do Mamy, do Halinki. Idę na pagórek. Nie czuję się dziś jeszcze b. dzielny.

Niedziela 27.IX.

Wczoraj minęło 2 tygodnie od mojego przyjazdu tutaj. Nie mogę powiedzieć, ażebym się czuł idealnie pod względem fizycznym przez cały ten czas. W ostatnią Sobotę, na wycieczce z Ahuią przemęczyłem się, i od tego czasu nie doszedłem jeszcze do równowagi. Bezsensowność (niezbyt wyraźna), przemęczenie serca i zwłaszcza zdenerwowanie są najwyraźniejszymi, jak dotąd symptomami. Mam wrażenie, że brak ruchu, spowodowany łatwym przemęceniem serca, skombinowany z dość intensywną pracą umysłową, jest powodem tego stanu. Muszę mieć więcej ruchu, zwłaszcza rano, kiedy jest jeszcze chłodno, i wieczór, kiedy już zaczyna być chłodno. Pozatem arsenik<sup>15</sup> jest konieczny, z chininą<sup>16</sup> zaś nie można przesadzać. 15 grainów [działek] na 9 dni powinno mi wystarczyć.

Co do treści życia, to badania etnologiczne pochłaniają mnie silnie. Przedstawiają one jednak 2 braki zasadnicze: 1° mam dość mało do czynienia z dzikimi na miejscu; za mało ich obserwuję, 2° nie mówię ich językiem. Ten 2. brak, zdaje się, będzie dość ciężki do zaradzenia, jakkolwiek staram się poduczyć Motu.

Niezmiernie piękna przyroda nie działa na mnie tak silnie. W samej rzeczy, bezpośrednia jej oprawa tu, w porcie Moresby, jest dość niesympatyczna. Veranda mojego domu, w 4/5 kondygnacjach zastłonięta płótnem materacowym tak, że tylko z dwóch końców widok otwiera się na zatokę. Ziemia zrypana, kamienista i pokryta różnymi odpadkami wygląda jak śmietnik pochyło zstępujący ku morzu. Domki, okryte werandami wyszczerzają rzadkie otwory w kratkach werand. –

Morze natomiast i pagórki otaczające zatokę cudowne. Zwłaszcza na drodze ku wiosce, gdzie widać je w oprawie nielicznych palm i mangrowów – nastrój jest nadzwyczajny. Z rana wszystko powleczone delikatną mgłą. Pagórki ledwo że przegładają, jak delikatne cienie różowe, rzucone na błękitny ekran. Morze, zlekka zmarszczone, mieni się tysiącem od-

cieni, skrzepłych na wciąż ruchomej powierzchni jego; na płytszych miejscach wśród turkusowych zieleni widać ciepło fioletowe ciała kamieni pokrytych porostami; na miejscach gładkich, niezmarszczonych wiatrem, odbija się niebo i ziemia gamą od szafiru do mlecznoróżowych cieni zamglonych pagórków. Tam gdzie wiatr pokrył ją chropowatą powierzchnią i zatarł oddźwięki głębin, gór i nieba, morze lśni swą własną głęboką zieloną, miejscami intensywnie niebieską barwą. Trochę później słońce czy wiatr rozprasza mgłę i widać nieco wyraźniej kontury gór; morze staje się intensywnie szafirowe na głębiach zatoki i turkusowe u płytkiego brzegu, niebo przykrywa wszystko błękitem. Góry jednak wciąż płoną w plenerowem, ciepłym kolorze ciał w kształtach fantastycznie pięknych, kąpiących się w lazurze nieba i morza. Dopiero po południu mgła niknie zupełnie, cienie na górach stają się głęboko szafirowe; góry nabierają dziwnie upiornego wyrazu, jakby skapane w jakiejś ponurej nocy, kontrastującej silnie z wieczną pogodą morza i nieba. Pod wieczór, niebo pokrywa się lekką mgłą znów, urozmaiconą deseniami lekkich pióropuszy chmur, które purpurowy blask zorzy zachodzącego słońca zapala i zarysowuje w cudowne desenie. Któregoś tu dnia w południe dym jakiegoś odległego pożaru trawy przesycał powietrze i wszystko nabrało nadzwyczajnych pastelowych cieni. Byłem strasznie zmęczony i nie mogłem dostatecznie nasycić się tym widokiem, ale był nadzwyczajny. W ogóle charakter pejzażu wyraźnie pustynny; przypomina widoki w zatoce suezkiej, szaloną orgję najintensywniejszych kolorów, w jakiejś odświeżonej przerafinowanej czystości i dystynkcji; kolorów drogich kamieni rozrobionych w słońcu. – Życie które prowadziłem w ostatnich dniach dość jednostajne.

We Wtorek 21. Ahuia zajęty w sądzie cały dzień. Idę z Iguą<sup>17</sup> i rozpakowuję rzeczy. We Środę wizyta. Wieczorem we Wtorek czuję się podle i nie mam najmniejszej ochoty pójść do D=ra Simpsona. We Środę rano A[hui]a zajęty od 11=stej. Po południu wizyta u O'Malley'ego, który mi właściwie nic ciekawego nie mówi. Poznają piękną Kori, której skóra i tatuowanie wzbudza we mnie zachwyt i pożądanie des Ewig Weiblichen [wiecznej kobiecości] w oprawie z brązowej skóry.

We Czwartek rano z Ahuią; po południu idę do wioski, silne zmęczenie. Wieczór przychodzi Bell, z którym gwarzę o nativach.

W Piątek rano poznają p. Huntera<sup>18</sup>, z którym jem lunch i gwarzę po południu; jestem wściekle przemęczony i nic nie mogę robić. Aha, poprzednich dni wieczorami wywołuję fotografie, co mnie dość męczy.

W Sobotę rano przychodzi Hunter, który mi jest znów tak b. użyteczny; potem godzina z Ahuią, potem idę do Bella, zapraszam się na lunch do Gubernatora i po lunchu czytam Tunnell i robię trochę gramatyki motuańskiej. Wieczór spacer na Pago Hill – czuję się trochę silniejszy; rozmowa ze Stamfordem Smithem. Wieczór idę spać wcześniej. Sen polucyjny, w kt[ó]rym obł. z przedłużoną rozkoszą grubawą, starą kobietą – sławną śpiewaczką. Charakt[erystyczne], że nie spuszcza się zaraz, ale odczuwam długo i wyraźnie rozkosz.

Zdarzenia polityczne nie emocjonują mnie. Nie staram się myśleć o nich. Mam daleko idące nadzieje co do poprawy losu Polski. – Co do Heimwek [Heimweg – droga do domu] to cierpię dość mało i b. egoistycznie. Kocham się wciąż jeszcze w Toście – nieświadomie, [?]. Zbyt mało ją uznaję. Ale fizycznie; ciało moje tęskni za nią. Myślę o Mamie mniej, czasem więcej.

Mailu. 21.X.14. Plantacja nad rzeką, Sobota.

Wczoraj tydzień, jak przybyłem do Mailu. Przez ten czas zbyt dużo dezorganizacji: skończyłem czytać „Vanity Fair”<sup>19</sup>; przeczytałem całe „Romance”<sup>20</sup> i to w dodatku całkiem narkotycznie, jednym ciągiem. Pracowałem też wcale nieźle i, jak na tydzień, rezultaty są nieźle, wobec fatalnych warunków pracy. Życie u misjonarza niezbyt mi jest miłe, zwłaszcza od czasu kiedy wiem, że za wszystko przyjdzie płacić. Sam facet mi jest wstrętny ze swoją wścibską „wyższością” etc. Ale muszę przyznać, że sama praca misyjna angielska posiada pewne strony sympatyczne. Gdyby to był Niemiec, niewątpliwie byłoby wprost coś wstrętnego. Tu ludzie są traktowani z względnie dość dużą dozą przyzwoitości i liberalności. Misjonarz sam gra z nimi w Cricket i nie czuć, ażeby się zbyt nad nimi panoszył. –

Jakżeś inaczej wyobraża sobie człowiek życie, a jak odmiennie je bierze! Wyspa wulkaniczna, otoczona rafami koralowymi, wśród wiecznego błękitu nieba i szafiru morza, z wioską Papuasów nad samym brzegiem, usianym łodziami; wśród gajów palmowych w wyobraźni malowałbym sobie życie, jako wieczne święto. Tak mnie też uderzyło to wszystko, kiedy dojeżdżałem tu na statku. Miałem poczucie radości, swobody, szczęścia. Po paru dniach już, uciekałem od tego wszystkiego chroniąc się w towarzystwo snobów londyńskich, rysowanych subtelnie przez Thakeray'a, na bruku wielkiego miasta tęskniłem za Hyde Parkiem, za Bloomsbury – lubię nawet czytać ogłoszenia gazet angielskich. Nie zamierzam się zamknąć w pracy, nałożyć na siebie dobrowolną niewolę i czuć się w niej szczęśliwym. Opowiem teraz szczegółowo zdarzenia dwu ostatnich tygodni czy też trochę więcej!

Port Moresby. Skończyłem pisać w Niedzielę 27.IX. Byłem wtedy pod fascynacją Tunnell'u, który czytałem całymi godzinami. Postanowiłem nie czytać powieści – całkiem nie brać ich do ręki. Przez parę dni dotrzymywałem tej, sobie danej, obietnicy. Potem znów upadłem. Następny tydzień był najważniejszy tem, że odbyłem wyprawę nad Laloki<sup>21</sup>. Zaproszony przez Gubernatora na obiad we Wtorek [przekreślone: w Niedzielę odbyłem ową nieszczęsną wyprawę do wioski w której zepsułem] – byłem z Miss Grimshaw & Mrs. De Righi. Zdecydowaliśmy się na Czwartek, a raczej na Piątek. Przez ten czas nie miałem sposobności pracować dużo z Ahuią, gdyż odbywało się sądenie Burnesconiego, który zawiesił krajowca na pięć godzin. Nie pamiętam dobrze tych dni; wiem tylko, że nie byłem b. skupiony. Aha, pamiętam: we Środę obiad u Championa; przedtem wizyta u misjonarza. W poprzednią Niedzielę byłem na lunchu u Gubernatora, gdzie był Cap. Hunter i gdzie czytałem Barbey'a d'Urvilly<sup>22</sup>. Ahui nie było w domu, poszedłem do O'Malley'a; potem do misjonarza, który mnie odwiózł łódką do miasta. Pamiętam ten wieczór; noc zapadła nad wioską; niepewny motor stękał pod nami; chłodno i dość wzburzone morze ciągle nas opluwało. We Środę czułem się marnie; zastrzyknąłem arsenik i starałem się wypocząć porządnie.

We Czwartek, rano Murray przysłał mi konia, z Iguą i Doną, który nas spotkał we wsi, jadę tyłem stacyi misyjnej, dolinką zasłaną ogrodami, mimo licznych grup nativów, pracujących na roli lub wracających do domu. Koło źródła na wł., z którego ładny widok rozciąga się wstecz na morze. Zjeżdżam na dół, w dolinę – u stóp mały clump [kępa] drzew, cień cudny; tęsknota za tropikalną roślinnością. Dalej, doliną, wśród szalonego upału. Wciąż ten sam suchy bush; drzewka cykaso-

we i pandanusy – pierwsze podobne do paproci drzewiastych; drugie o fantastycznych łbach kudłatej gorgone – przerywają nieegzotyczną monotonię wyschłych eukaliptów. Trawa zeschnięta, brązowa. Światło silne wciska się wszędzie, nadaje dziwną obnażoność i trzeźwość pejzażowi, który a la longue [z czasem] staje się mocno nużący. Od czasu do czasu natężenie zieloności wzrasta, w miarę jak zbliżamy się do wilgoci – wyschłego creaka [creek odnoga rzeki] – lub przejeżdżamy lepszą ziemię. Vaigana creek, jak zielony wąż wiję się poprzez spaloną równinę; otoczony aleją bujnej zieloności. Lunch; Ahuia daje mi parę wskazówek co do granic terytoriów. Jedziemy dalej, (po zdjęciu 2 fotografii). Poprzez równinę; Ahuia pokazuje mi linię demarkacyjną, granice 2 terytoriów; biegnie ona prosto – bez naturalnej podstawy. Wjeżdżamy na wzgórze. Idę z Ahuią na szczyt; zdejmuję plan – robię szkic. Przede mną równina, przecięta Vaigana creek; na prawo bagna wyschłe; za nimi Baruni Hills. Na najdalszym planie pasmo wzgórz, ciągnących się tuż nad brzegiem zatoki P[or]t M[oresby]. Szkicowanie mapy sprawia mi poważne trudności.

Zjeżdżamy na dół wąską dolinką. Na lewo pola wysokiej, brązowej trawy, przechodzącej w pas i fiolet, uginają się pod wiatrem, falując się i mieniając w słońcu jakby aksamit głaskany niewidzialną ręką. A[hui]a urządza małe polowanie. Idziemy w gęszcz Agure Tabu; mętna rzeczka, słamazarnie wlece się między drzewami. 1. raz widzę sago. A[hui]a mówi mi o modlitwie, którą ludzie odmawiają w takich razach, i o niebezpieczeństwie picia tej wody lub jedzenia owoców, sago etc. rosnącego w pobliżu. Wjeżdżamy w dżunglę, puszcę ciągnącą się wąskim pasem po obu stronach Laloki. Monumentalne drzewa ILIMO. Opierające się szerokimi skarpami o ziemię, wznoszą się do olbrzymich wysokości. Wspaniałe pnącza o szerokich, powykrawanych liściach. Jedziemy w bród przez rzekę; wysokie sitowie. Po drugiej stronie jedziemy ścieżką wśród wysokich drzew, pnączy, zarośli. Po prawej ręce rzeka, po lewej tu i ówdzie przegładają ogrody. Mała osada nad brzegiem rzeki. 4 domki naokoło majdanu z ulotnej, wyschłej ziemi. W środku drzewko o purpurowych jagodach w strąkach, barwiące na cudny vermilion [cynober]. Paru natiwów; dzieci włączają się po skwerze z świniami. Idziemy ogrodem, wśród bananów, pomidorów i tytoniu ku rzece znowuż. Tam A[hui]a czatuje na aligatora – bezskutecznie. Wracam, przedzierając się brzegiem rzeki – [?] ostre kolce loja-cane drą mi buty. W domu, siedzę i rozmawiam z Goobą i Iguą.

Na 2. dzień (Piątek) wstaję rano, za późno jednak, ażeby usłyszeć przemowę i okrzyk na początek polowania. Potem idę z A[hui]ą na drugi brzeg, tam gdzie siedzą krajowcy z Vabukori, Aha, byłem tam już poprzedniego wieczora. Na platformie, nad ogniem, wędzą się wallaby [małe kangury] w dymie. Legowiska z liści bananowych zeschniętych; poduszki z kijów opartych na podpórkach. Kobiety ważą jadło w blaszankach z nafty. Ciekawe są naprędce sklecone platformy, służące jako spizarnie i jako składy na rzeczy. Zdejmuję platformy z wallabami. Gub[ernator] przyjeżdża. Zdjęcia łowców z siatkami, z włócznie. Idziemy piechotą ogrodem, potem trawą, potem koło wioski; potem lasem, koło kałuży z fioletowymi lotusami. Stacjonujemy się na brzegu lasu; idę wprost na siatki, gdzie siedzę z dwoma natiwami. Płomień nie tak piękny, jak przy poprzednim pożarze; mało go widać; dym tylko silny idzie i wiatr przed płomieniami i trzask silny słychać. Jeden wallaby wpada na sieć, przewraca ją i ucieka w las. Nie umiem go zdjąć. – Jeden zabity na prawo od nas.

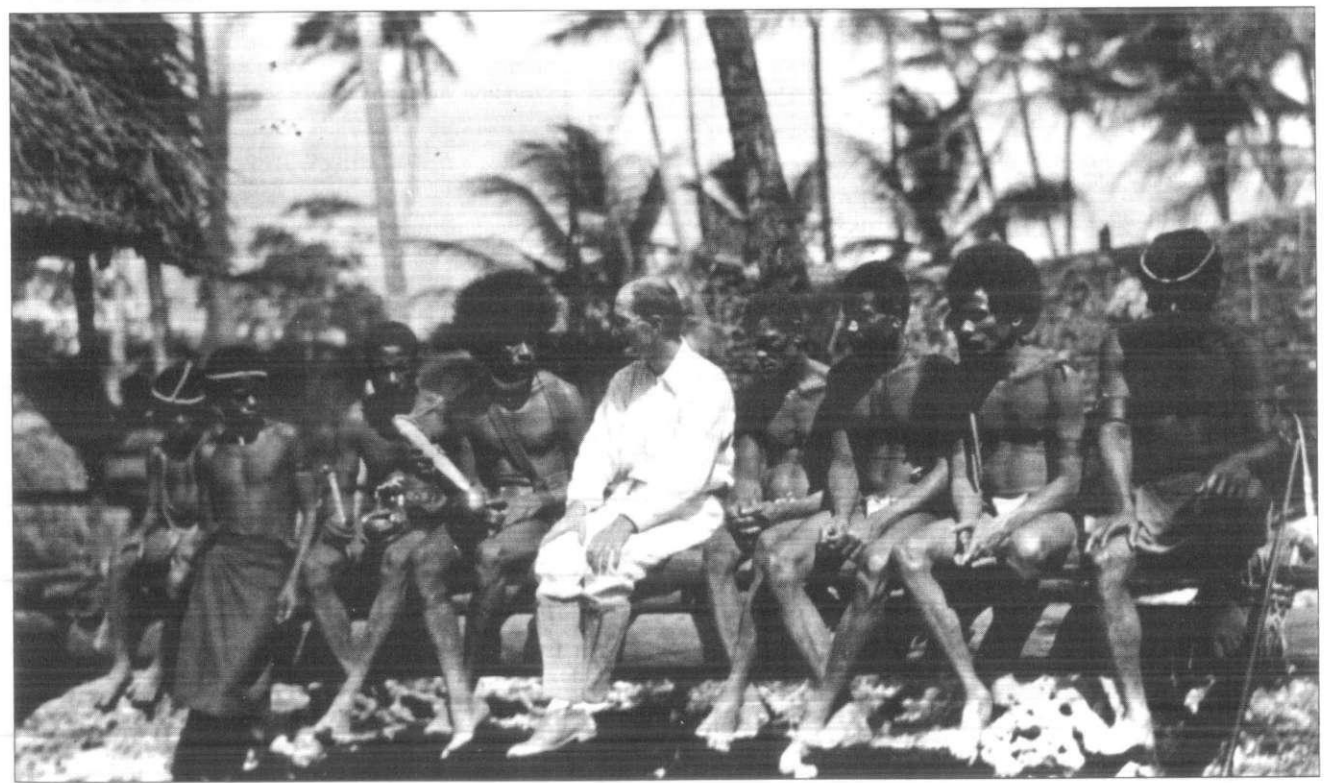
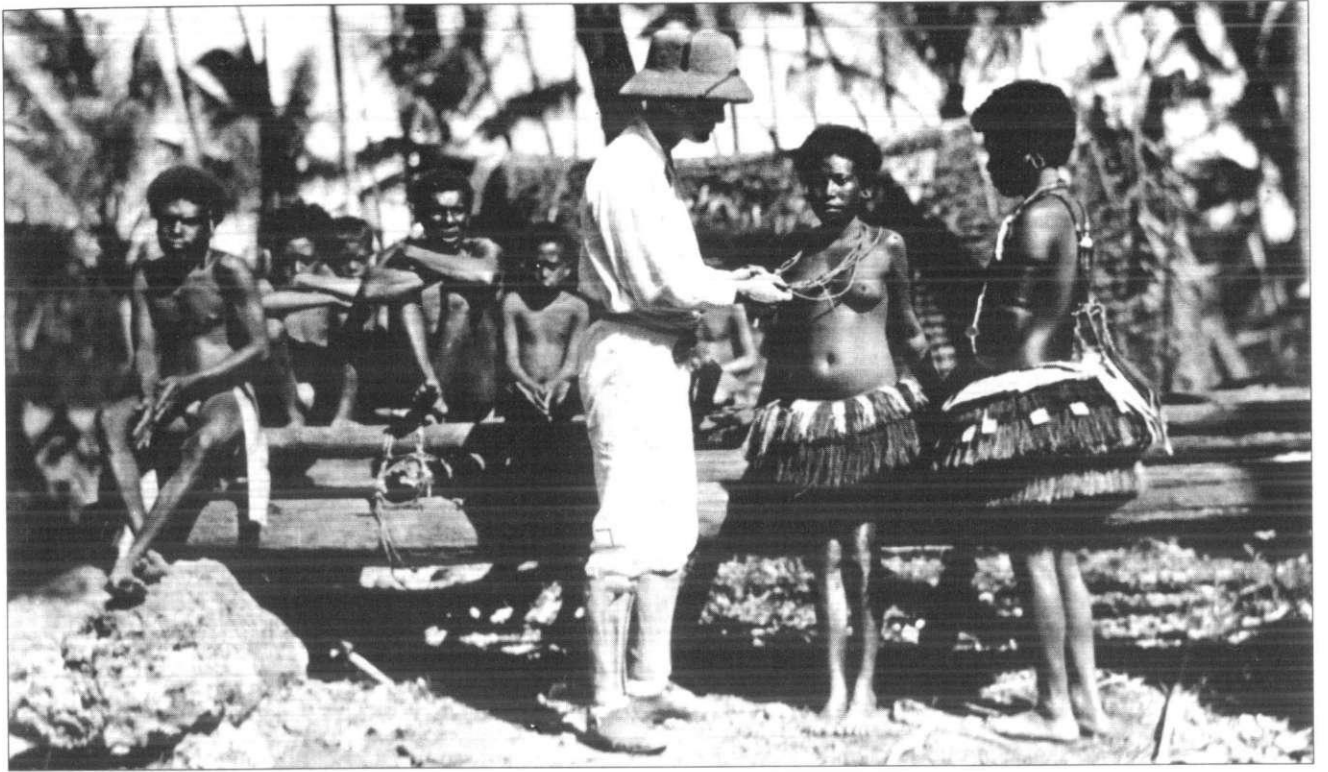
A[hui]a zabija Boromeę. Wracamy spaloną przestrzenią. Potworny żar i dym. Lunch z gub[ernatorem] i Mrs. D[e] R[ighi]; rozmowa o sportach. Oni wyjeżdżają wcześniej o 2=giej. Ja zostaję. Idę spać. A[hui]a nie idzie na polowanie. Jazda łódką – nieudała.

Na 2 dzień (Sobota) rano wstaję dość późno i idę z Goobą i Douną do ogrodów. Obserwuję kopanie i obwijanie bananów. Potem pościg za koniem. Potem sjesta pod drzewem mangowem, gdzie robię zdjęcia kobiet. Powrót, lunch (papaya). Potem sen. Potem kąpiel w rzece – b. miła. Spacer lasem. Bajeczne zakątki. Naturalne altany, olbrzymi słup ze skarpami: drzewo ILIMO – Wychodzimy z lasu. Grupa dzikich siedzi, operuje i piecze wallaby. Rozcina brzuch; odkrawa, odmierza; później piecze razem ze skórą. – Żółta zorza przenika powietrze, wkrada się w las. Wracamy. Słychać uciekające wallaby. A[hui]a wrócił już. Odbywamy rozmowę (poprzedniego dnia rozmowa o zabawach dzieciennych, której niestety nie zanotowałem).

W niedzielę wyruszamy wcześniej. Wracamy tą samą drogą, aż do brodu; potem skręcamy poprzez Agure Tabu; idziemy dość długo równiną, aż popod wysoki kopiec, pokryty popiołem, łudzaco podobny do wallum. Pod nim skręcamy. Widok na plantację konopi meksykańskich (sisal hemp). Robię nowy szkic z górki. Prześliczny widok na góry, na Hombrom Bluff i na M=t Lawes. Potem czuję się silnie zmęczony. Jadę, drzemiąc spokojnie. A[hui]a strzela i kładzie wallaby. Potem dojeżdżamy do Hohola. Jestem b. zmęczony. Peszy mnie morowo fakt, że N.&G. aparat jest zepsuty. Potem bierzemy zeznania od ekonomy z Hoholi (naczelnika Uhadi Iduhu) co do dawniejszych stosunków panujących u Koitapuasów. Wracamy do domu tą samą drogą co dawniej. W P=t Moresby znajduję zaproszenie na herbatę od Mrs. Dubois, której mąż (Francuz) robi b. inteligentne i miłe wrażenie; mówimy o języku Motu. Wieczór spędzam w domu.

W Poniedziałek 5.X. pracuję z A[hui]ą i telefonuję do Murray'a. Nie idę do niego, aż we Środę(?). Mam chwile silnych kollapsów [collapse – upadek, zapaść] moralnych. Czytam znowuż. Mam napady chandry. I tak, np. czytając Candlera o Indyi i jego powrót do Londynu, bierze mnie chandra z[a] Londynem, za n – tak jak tam żyłem w 1. roku na Saville S=t i potem na Upp[er] Marylebone S=t. Często, b. często myślę o t<sup>23</sup>. Zerwanie wciąż jeszcze przedstawia mi się jako niezmiernie bolesne przejście, gwałtowne przejście z jasnego światła w głęboki cień. Myślą przechodzę chwile w Windsorze i po powrocie – moją zupełną pewnością i poczuciem bezpieczeństwa. Parokrotne poważne planowanie trwałego połączenia się z nią. Chwile zerwania – od Soboty 28.III aż do Środy 1.IV. i potem wahania się – Czwartek wieczór, Piątek, Sobota w kółku<sup>24</sup> – wszystko to przeżywam często – i boleśnie. Wciąż jeszcze kocham się w niej. Myślę też często o późniejszej epoce, po powrocie z Krakowa. – O wojnie myślę chwilami tylko; brak szczegółów w wiadomościach przyczynia się do lekkomyślnego odnoszenia się do faktów. – Oddaję się od czasu do czasu choreografii starając się wpoić tango w serce i pamięć Miss Ashton. Piękne wieczory księżycowe z werandy Mr & Mrs. McGrath – przepelnione niechęcią do tych pospolitych ludzi, nie umiejących znaleźć odcienia poezji i szuku w niektórych rzeczach, do kt[órych] ja się egzaltuję.

Upały znoszę rozmaicie; czasem cierpię dość mocno – nigdy tak jak na Orsovie<sup>25</sup> lub w Colombo i Kandy. Chwilami – w ogóle znoszę b. dobrze. Fizycznie nie mogę bistować



dużo. Umysłowo nie jestem b. przytępiony. Sypiam w ogóle dobrze. Apetyt mam. Chwile przemęczenia, takie same, jak miewałem w Anglii. Czuję się stanowczo grubo lepiej, niż tamtego upalnego lata, podczas koronacji.

Typowy dzień: rano wstaję późno; gołę się; idę na śniadanie z książką w rękę. Siedzę na przeciw Vrolanda i Jacksona. Zbieram się i idę do C[entral] Court. Tam z Ahuią, kt[óremu] daję papierosy. Potem na lunch. Siesta i idę do wioski. Wieczór w domu. Nigdy nie byłem wieczorem w Hanuabada. Po wrót, u stóp pagórków, wśród palm, z morzem i niebem płonącym czerwonymi połyskami wśród szafirowych cieniów, jest jedną z miłszych chwil. Marzenia o stałym osiedleniu się w S[outh] Seas; o tem, jak będę patrzył na te rzeczy po powrocie do kraju. Myśli o tem, co się teraz w kraju dzieje. O matce. Wyrzuty sumienia. Chwilami myślę o Stasiu, z coraz mniejszym rozgoryczeniem. Z żalem za jego towarzystwem. Chociaż jestem rad, że jego tu nie ma.

W Piątek 9.X. pod wieczór wychodzę na krótki spacer – chciałem iść do D=ra Simpsona, Wakefield wjeżdża. Zbieram się w kupę i przygotowuję wyjazd. (Aha – jeszcze zapomniałem wspomnieć o dużej ilości czasu, którą zabrało mi babranie się w fotografii).

Sobota – jadę na lunch do Gov=t House'u, gdzie dyskutuję napisanie listu do Atlee Hunt'a<sup>26</sup>. Po południu w wiosce.

Niedziela 11. pakuję się; późno dopiero idę do Ahui, z nim do misjonarza; wracam piechotą.

Poniedziałek – cały dzień zajęty pakowaniem, ekspediowaniem rzeczy na Wakefielda, wizytami u bankiera, pisanie listów. Po południu idę do Gov=t House'u, gdzie widzę się jeszcze z Gov=rem i Murrayem. Idę do misjonarza. Potem wracam z Iguą do domu. Kończę pakowanie. Noc na Wakefieldzie.

We Wtorek 13.X. Rano wyjazd. Niezbyt czyste powietrze. Dalsze góry tylko w sylwecie. Bliższy pejzaż wyraźniejszy. Wioski: Tupuseleia etc. Kapakapa – jadę na ląd – przez cały czas trochę się czuję niewyraźnie i starannie studiuję nowele Maupassanta. Domki Kapakapa głęboko wsunięte w morze, na licznych silnych palach. Dachy przechodzą linią ciągłą w poszycie ścian, tak, że forma domków jest ta sama co w wioskach typu Mailu. Klany budują się w odrębnych grupach. Na brzegu rozkoszują się widokiem pełnego morza, złagodzonego rafą, którego tak b. brak w P=t Moresby. Jedziemy dalej – równiny, porośnięte pandanusami i suchą dżunglą – z daleka widać gąszcz drzew kokosowych – Hulaa. Zapuszczamy kotwicę; cudny zachód z poczuciem opuszczenia.

Na 2. dzień rano nie wstaję z łóżka aż do Kerepunu. Śliczne ujście rzeki, z szeroką panoramą górską w głąb ładu. Po obu stronach plaża piaskowa z ramą palm ślicznych. Wsiada parę osób; ślepany staruszek, miejscowy trader [kupiec] zachęca mnie do przyjechania tam. Wyjeżdżamy poza rafę koralową. Morze wzburzone, czuję się marnie. Dopiero dojeżdżając do Aromy zaczynam czuć się lepiej. Wsiadam na ląd i oglądam małą wioskę. Domy bez porównania lepiej zbudowane niż w Hanuabada; platforma z szerokich, silnych desek. Wchodzi się do górnego, właściwego domu przez dziurę w podłodze. Wioska otoczona płotem, czy raczej palisadą. Za Aroną zaczyna się już wilgotny pas. Dojeżdżając do Vilerupu, czy Belerupu wjeżdżamy w cudną okolicę. Jasne, intensywnie zielone zarośla mangrowe; głębokie zatoki, fiordy wśród tego; wioska ślicznie położona na pagórku; na dalszym planie góry wysokie – to wszystko stanowi wspaniałą całość.

Wsiadam na ląd z traderem, przeprowiam się na drugą stronę łódką krajowców. Tam rozmawiam z sepumowatym policjantem, który nie ma pojęcia o niczem. Wioska zupełnie nowa, powstała pod wpływem białych. Dzieci uciekają przede mną i trzymają się z daleka. Piję orzechy kokosowe i jadę na statek. Śliczny wieczór.

Na 2. dzień wyjazd z fiordu; jedziemy dość spokojnie; czytam Miss Harrison<sup>27</sup> o religii. Jazda ta przypomina mi najsilniej brzegi Jeziora Genewskiego: pokryte bujną zielenią, przepojone błękitem, oparte o wysoki, silny wał górski. Nie umiem się skupić na tym pejzażu. To nie to co nasze Tatry na Olczy, gdzie człowiek chciałby położyć się na pejzażu, objąć go cielesnie – gdzie każdy zakątek mówi o możliwościach tajemniczo przeżytego szczęścia. Tu te cudne otchłanie zieloności są tak niedostępne, wrogie, obce człowiekowi. Nieporównanie piękna dżungla mangrowów z bliska jest piekielnym, śmierdzącym, obsłizgłym bagniskiem, w którym trzech kroków zrobić niepodobna wśród gęstwy korzeni i miękkiego błota; w którym dotknąć niczego nie można. Dżungla sama prawie że niedostępna; pełna świństw różnych i gadzin; duszna, wilgotna, męcząca – rojąca się od moskitów i paskudnych owadów – świństw etc. „La beauté est la promesse de bonneteur” [piękno jest obietnicą oszusta].

Nie pamiętam szczegółów między Belerupu a Abau. Samo Abau cudowne. Wysoka dość, skalista wyspa. Widok na szeroką zatokę, lagunę, otoczoną ze wszech stron mangrowami. Dalej piętrzą się, jeden za drugim, wały górskie, coraz wyższe: nad nimi króluje grzbiet główny. Armit sympatyczny, nonszalancki, niezbyt cywilizowany, trochę *homo rusticus*. Najprzód rozmawiam z nim w jego domu. Potem idziemy na górkę; potem rozmawiamy z więźniami. Potem, po kolacji, on sonduje swojego chłopca z głębi ładu. – Śpię nieźle.

Rano embarkuję [embark – załadować, wsiadać] się na statek. – Tam inżynier instruuje mnie, żebym się uparł przy wysadzeniu mnie na ląd w Mailu. Robię to – i schodzę z mojej pozycji na mostku kapitana: o shame [wstyd]! Dojeżdżamy do Mogubo. Rzygam. Hon. De Moleyns wchodzi na statek: mówi mi, że misjonarza jeszcze nie ma w Mailu. Mailu i droga doń z Mogubo cudne. Wsiadam trochę speszony, ale szczęśliwy, że jestem w tak bajecznym kraju. W 5 minut po mojem wylądowaniu, po przywitaniu się z policjantem i wysadzeniu rzeczy na ląd, łódka misjonarza ukazuje się na horyzoncie. Jestem już zupełnie szczęśliwy.

Okolice Mailu: Mainland porośnięty hamarim o długich, powłóczystych igłach, przypominające świerk – o igłach limby i sylwecie modrzewia. Za głęboko idącą równiną w Baxter Bay, wyjeżdżamy, koło Mogubo, w kraju, gdzie góry piętrzą się tuż nad morzem – przypomina trochę Madeirę, między brzegiem a Mailu 2 wyspy koralowe z piaszczystą plażą, pokryte palmami, wyrastające z wody tak jak w wyobraźni miraż wyrastają z pustyni. Mailu samo, dość wysokie (na oko); góry pokryte trawą, bezdrzewne, strome, jakieś 150 m. wysokości. U stóp przestrzenie płaskie, pokryte palmami i innymi drzewami. Drzewo dziwne, o szerokich liściach i lampionkowatych owocach.

Moi towarzysze podróży na Wakefieldzie: Kapitan, krępy, niski Niemiec o wydętym brzuchu. Brutal, wciąż kłnący i bully'jący [bully – znęcać się] Papuasów. Engineer – ordynarny Szkot, zadzierający nosa i niegrzeczny. Mr Dean, zyzujący, wysoki, przystojny mężczyzna, Anglik, kłnący na Australczyków, nielubiący Papuasów, zresztą sympatyczny

i nieco bardziej kulturalny niż niveau [poziom][?]. Alfr[ed] Greenwood, Greenaway, starawy, pocziwy Quaker [kwaker] – teraz szczerze żałuję, że go nie poznałem lepiej, bo mógłby mi on więcej pomóc, niż ten dureń Saville<sup>28</sup>. Capt. Small, najsympatyczniejszy z nich wszystkich z lekkim pokryciem artystycznego dotknięcia, dobrze wychowany – niestety zdaje się pijak. Miałem ich wszystkich, głównie kapitała i maszynisty, aż po uszy. De Moleyns, syn lorda, pijak i hultaj, miły i niewątpliwie rasowy.

Dziennik moich przeżyć na Mailu:

Piątek 16.X. Po przywitaniu się z Mrs S[aville], która mnie przyjmuje niewyraźnie; witam S[aville], na którego patrzę przez pryzmat mojej apriorycznej sympatii. Zaprasza mnie b. pięknie na noc i na jedzenie i to dodaje mu jeszcze sympatii w moich oczach. Po południu idę z policjantem do wioski i do ogrodów. Biorę udział w wieczornym nabożeństwie i pomimo serdecznej śmieszności ryków psalmowych w dzikim języku, wytrzymuję i zachowuję nawet wewnętrzną życzliwość w stosunku do tej całej blagi i humbugu. Wieczór spędzam w ich towarzystwie.

Sobota 17.X. Rano S. oprowadza mnie po wyspie; do flagstaffu [flagstaff – drzewce]; do wioski; potem do ogrodów, potem poprzez pagórki na drugą stronę, gdzie dostajemy kokosu i oglądam, jak robią toea (armshells [naramienniki z muszli]). Potem okrążamy cypel i wychodzimy na brzeg misyjny. Po obiedzie czytam trochę – nie pracuję jeszcze; czekam na pomoc, użyczoną mi przez S.

Całą Sobotę 17. i Niedzielę 18. marnuję czekając na Saville'a i na zabój czytam „Vanity Fair” – zupełne stumanie; zapominam wprost, gdzie jestem. V[anity] F[air] zacząłem czytać, pożyczony od Dziewickiego, w Zakopanem; owej wiosny kiedy byłem tam przez 6 dni w Maju, Staś był w Bretanii, ja mieszkalem u Tabów<sup>29</sup>. Teraz losy Becky Sharp i Amelii nie wzbudziły żadnych wspomnień o przeszłości. Tanta epoka była też epoką zupełnego otumanienia.

W Poniedziałek 19. rano rozmawiam z S. o warunkach wspólnego pożyicia i peszy mnie niezmiernie crudness [surowość], z jaką on się do tej rzeczy odnosi, potem mocno zdeziłjonowany [dissillusion – rozczarowanie] co do jego serdeczności i bezinteresowności i od tej chwili to w połączeniu z zupełną nonszalancją S. dla mojej pracy, robi go dla mnie wstrętnym. – Aha, w Niedzielę wieczór jadę łódką do stateczka parowego, wywracam outrigger [wysięgnik], wpadam do wody i, być może, jestem bliższy niebezpieczeństwa, niż wynik to wskazuje. Wspinam się na wyrwconą łódkę i potem stamtąd na launch'a [launch – szalupa]. Wracam i będąc jeszcze w dobrych stosunkach (wewnętrznie) z S=łami przebiegam się i biorę wszystko jako żart. Psuję zegarek i niektóre rzeczy skórzane, które miałem w kieszeni. – W Poniedziałek idę do wioski i, z wielkim trudem, staram się robić badania. Rozgoryczenie w stosunku do S. W Poniedz. wieczór konklawe starców w Mission House.

We Wtorek wieczór idę obserwować tańce. Silne wrażenie: w ciemną noc bezświecącą przy świetle ognisk gromada dzikich, przystrojonych (niektórzy) w pióra i białe kawałki na ramionach, w rytmicznym ruchu.

W Środę rano zbieram materiały o tańcu. W tym czasie mniej więcej czytam „Romance”. Subtelny konradowski duch wyziera z niektórych miejsc; w ogóle powieść raczej „spannung” [zaciekawienie] niż interesująca w najogólniej-

szym znaczeniu. – Wciąż myślę i kocham się w t. Nie jest to miłość rozpaczliwa; poczucie, że straciłem wartość twórczą, zasadniczy element samego siebie, jak miało miejsce z ż. Jest to wciąż jeszcze przenikający mnie czar jej ciała i poezja jej obecności. Piaszczysta plaża Folkestone i zimny, przenikliwy blask zorzy wieczoru tamtego. Wspomnienia z Londynu i z Windsoru. Przypomnienia chwil straconych, jak wtedy kiedyśmy dojeżdżali do Paddington, albo kiedy straciłem wieczór z nią idąc do School of Economics, przesywając mnie boleśnie. Wszystkie skojarzenia idą w jej stronę. Poza tem mam chwile chandry ogólnej. Motywy ze spacerów z Kasią i Wandzią, wspomnienia z Paryża i elementy Francji – nabrało dla mnie niewypowiedzianego uroku przez jakąś tajemniczą asocjację z t – może wspomnienia o ż, czy jazda dniem przez Normandję i wieczór między Paryżem a Fontainebleau – wspomnienia ostatniego wieczoru z Augustem Z[aleski] w Warszawie, spacer z Nussbaumką<sup>30</sup>. – Wreszcie zaczynam odczuwać głęboką i silną tęsknotę za Mamą, podnoszącą się z głębin duszy.

Postanawiam pisać dzień w dzień sprawozdanie:

29.X. Wczoraj rano wstałem dość późno; zamówiłem Omagę, który na mnie czeka pod werandą. Po śniadaniu idę do wioski, gdzie Omaga spotyka mnie koło kobiet, robiących garki. Rozmowa idzie dość kiepsko. Potem przenosimy się na środek ulicy, gdzie kobieta robi rysunki. Przyłącza się Papiari<sup>31</sup>; rozmowa znów o nazwach miesięcy, których Papiari nie zna. Jestem zniechęcony. Po obiedzie czytam Golden Legend, potem idę spać. Wstaję o 4-tej, kąpiel morska (próbuję pływać); herbata; idę koło 5-tej do wioski. Rozmowa z Kawaką o pogrzebie; siedzimy pod palmami u końca wioski. Wieczorem rozmawiam z Saville'em o brzegach połdn. Anglii od Ramsgate do Brighton. To mnie bierze. Kornwalia, Devonshire. Dygresja o narodowościach i charakterze ludności (Kornwalczyków, Devonshire, Szkotów). Bierze mnie chandra. Czytam parę stron z Cherbulieza<sup>32</sup> „Vlad. Bolski” – sylwetka kobiety nadzwyczajnej duchowo; przypomina mi Żenię. Idę rozchandrzonej, nucąc, do wioski. Dość wydajna rozmowa z Kawaką. Obserwuję śliczne, poetyczne tańce i słucham muzyki Suau<sup>33</sup>. Małe koło tancerzy; dwóch naprzeciw siebie tańczy z podniesionymi bębnami. Melodya przypomina kubańskie zawodzenia. – Wracam. W domu tracę czas na feuilletowanie [feuilletter – przeglądać] Pucha. Wizja t. – O Stasiu myślę chwilami z prawdziwą serdecznością; głównie melodya przez niego skomponowana w drodze do Ceylonu.

Dzień 29.X. (pisane 30.X. po poł.) Rano wstaję przed 8=ą i piszę dziennik. Jestem zajęty pisaniem, kiedy S. daje mi mail. Listy od n (5) i szereg listów z Australii. B. miłe i serdeczne listy of May'ów i Le Souefów<sup>34</sup> robią mi serd. przyjemność. Tak samo niezmiernie miły list od Goldingowej. List Stasia<sup>35</sup> peszy mnie głęboko. Odczuwam równocześnie silne wyrzuty sumienia, że nie postępowałem w sposób zupełnie unimpeachable [nienagannie], równocześnie odczuwam głęboki żal i nienawiść za jego odniesienie się do mnie. Sentyment prawie całkiem zduszony tym listem. Nie widzę prawie możliwości porozumienia. Wiem także, że, jakkolwiek było wiele win z mojej strony, on postępował b. bezwzględnie w stosunku do mnie; przez cały czas zachowując gesty i minę uciśnionej wielkości i moralizując mnie z akcentem głębokiej, dojrzałej i obiektywnej mądrości w głosie. Nie

było cienia życzliwości w jego zachowaniu się w stosunku do mnie. – Nie, obiektywnie, szala nieprawości przechodzi na jego stronę... Niezmiernie mnie peszy i przygnębia bankrucstwo mojej najistotniejszej przyjaźni. Pierwsza reakcja brania odpowiedzialności za wszystko jest przeważająca i czuję się *capitis diminutis*; człowiekiem bez wartości, o zmniejszonej wartości. Przyjaciel nie jest tylko dodatkiem – jest on współczynnikiem; wartość indywidualna staje się pomnożoną. Trudno – wina zerwania leży przede wszystkim w jego nieubłaganej pysze i bezwzględności, która nic nie umie przebaczyć innym, a b. wiele samemu sobie. – Potem czytam listy *n*, które są jedyną nicią wiążącą mnie z przeszłością i „Timesa”, którego Mayowa mi przysłała.

Idę do wioski speszony. Konferencja z Kawaką w jego domu o obrzędach pogrzebowych i analiza łopaty sagowej. Po południu zaczynam czytać Bolskiego i nie odkładam książki aż o 5-tej. Idę na ¼ godziny do wioski, mocno zdemoralizowany czytaniem powieści i listem Stasia. Wieczorem czuję się b. histerycznie. Pomimo to przygotowuję plan kampanii z S. i idę po Kawakę i Paparię do wioski. Po długich *pour parler* [rokowaniach] wydobrywam ich i wracam. Nareszcie tajemnica nazw miesięcy się wyświeśla! Idę spać zaraz bez czytania.

30.X. Wstaję b. późno o 9-tej idę wprost na śniadanie. Po śniad. czytam numery „Puncha”. Potem do wioski. Z Kawaką b. marnie; jakiś leniwy i niechętny – i ja też nie jestem in good form. Podczas lunchu rozmawiam z S. o etnolog[icznych] materjach. Potem przeglądam gazety. Idę na sporty. Potem z S. znowuż o etnol[ogii] i rozmowa o polityce. On jest liberał i staje się dla mnie zaraz sympatyczniejszy.

Derebai<sup>36</sup> 31.X. Potem piszę dziennik i staram się zsyntetyzować moje rezultaty, przeglądając Notes & Queries<sup>37</sup>. Potem przygotowania do wycieczki, kolacja, podczas kt[órej] staram się sprowadzić rozmowę na etnologiczne tory. Po kolacji krótka rozmowa z Velavim. Potem jeszcze czytam N[otes]&Q[uieries] i ładuję aparat. Potem idę do wioski; noc jasna, księżycowa. Czuje się nie b. wyczerpany i enjoyuję [enjoy – cieszyć się] spacer. W wiosce dają Kawace kawałek tytoniu. Potem, ponieważ nie ma ani tańców ani zabaw idę plażą na spacer ku Oroobo.

Cudna noc. 1. raz widzę tę roślinność w tem tajemniczym oświetleniu. Zbyt dziwna i egzotyczna. Egzotyczność z lekka przebija się poprzez powłokę rzeczy znanych. Nastrój zaczerpnięty z powszedniości. Egz[otyka] dość silna, ażeby zepsuć normalną apercpcję, zbyt słaba ażeby stworzyć nową kategorię nastroju. Wchodzę w bush. Bierze mnie chwilowo trema. Muszę się montować. Spoglądam w głąb. „Jakie jest moje życie wewnętrzne” Nie mam powodu, ażeby być zadowolonym z siebie. Praca, którą robię, jest raczej formą narkotyku, niż wyrazem twórczości. Nie staram się jej powiązać ze źródłami głębszymi. Zorganizować. Czytanie powieści wprost fatalne. – Kładę się spać i myślę o erotycznych rzeczach w sposób nieczysty.

31.X. Rano budzi mnie S. Wstaję i ubieram się bezp[rośrednio] przed śniad[aniem]. Potem śniad[anie], spakowanie i jazda. Morze całkiem zamglone. Ład ledwie w sylwecie. Loncha kołysze się b. Głowa zamglona. Zbliżyliśmy się do wspaniałych, pokrytych bujnym płaszczem, gór. Fiordy, doliny, skały romantyczne nad morzem. Wioska au fond [na końcu] zatoczki. Nad nią pagórki pokryte olbrzymią puszcza. – Siedzę na werandzie. Bougaivilia płonie na tle zieloności; morze zielone prześwieca między liśćmi kokosów.

(Kończę w Mailu 2.XI.) Biorę Iguę i Velavi i idę do wioski. Przedtem słyszę konszachty S. z native-teacherem [tubylczym nauczycielem] i wysłuchuję jego ekspektoracji [expectation – plucie] przeciwko policjantowi. Nienawiść moja przeciwko misjonarzom wzbiera. Wioska marnie zbudowana. Domy stoją dość nieregularnie w dwu rzędach, tworząc ulicę nie tak równą i ładną, jak w Mailu. Na środku stoi znak tabu, mała bramka, ozdobiona zeschniętymi liśćmi i białymi muszlami na wierzchu. Staram się dowiedzieć czegoś, zebrać informacje – nic nie mogę, po raz pierwszy spotykam się ze śmiechem. Idę przez wioskę z cynicznym draniem, Bonio. Spotykam Saville’a, który robi zdjęcia. Jedyny przyzwoity dom, z aligatorami rzeźbionymi na powal[e] werandy, należy do policjanta. Wracam na lunch. Potem drzemię w kościele – dość marnie. Potem z Iguą, Velavim i dwoma jeszcze draniem (Bonio i sepumowaty facet) idę oglądać ogrody. Idziemy przez dżunglę; olbrzymie, skarpowate drzewa; gęstwa ljanów. Puszcza mniej ciemna i wilgotna, niż w Orauro (plantacja misyjna, gdzie byłem ze S.); pytam o nazwy drzew i ich użYTEK. Mały ogródek bananowy. Tu i ówdzie wyglądają zielone stoki otaczających pagórków, ale w ogóle gęstwa zaslania wszystko. Przechodzimy przez błotnistą rzeczkę. Ogród na stoku. Wypoczywam na małym spalenisku. Gorąco i wilgoć silna, czuję się dość dobrze. Zaczynam się drapać pod górę poprzez zawalony ogród i wertepy. Powoli widok się otwiera; powódź zieloności; dolinka o stromych ścianach, pokrytych puszcza; dość wąski wygląd na morze. Pytam się o podział gruntów. Byłoby dobrze dowiedzieć się o dawnym systemie podziału i zbadać teraźniejszy, jako formę przystosowania. Jestem silnie zmęczony, ale serce nie zmęczone i nie brak mi tchu. Dochodzimy do przełęczy. Widok na 2 strony. Dolinka, ukoronowana pagórkami, na którym przedtem stała wioska, szersza i b=j pozioma. Idę pod górę i rozkoszuje się widokiem na obie strony: na morze. Schodzimy 2=a stroną; cudny zapach; śliczny widok na cirque [kotlina] – ukoronowany DELEBAI+ORO. Nogi jak z masła, ledwo idę. Na dole idziemy bajeczną puszcza; przenoszą mnie przez rzekę. W wiosce sporty – siedzę nad morzem. Kolacja; silne zmęczenie; ładny obrazek dzieci, palących ognisko wśród bezksiężycowej nocy. Śpię marnie, pchły.

1.XI. Rano idę do wioski, gdzie świnie. Myślę o nieracjonalności zakazu świń i nakazu koncentrowania wioski; o projekcie, kt[óry] bym chciał zrobić gubernatorowi, o wycieczce z Ahuią. Jestem zmęczony, ale nie bardzo. Jazda łódką do Borebo<sup>38</sup>. Przymglenie nie pozwala admirować widoku. Idę do wioski; dubu; zbieram informacje, które tu po prostu płyną pełnym strumieniem. Wracam na obiad. Po ob[iedzie] nie śpię. Robię 4 zdjęcia. Potem idę do wioski i zbieram materiały. B. inteligentni krajowcy. Nic nie kryją ani nie kłamią. Idę spacerem do Dagobo Unevi. Aha; cudny krajobraz, na który patrzę. Jasne skały wyglądają spośród zieleni. Głęboka dolina z fantastycznymi basztami. Droga do (Dagobo) Unevi cudna. Palmy; gąszcz, kępy mangrowów od strony morza; skałki. Wioska mała i marna; zbudowana nie w 2 rzędach. Aha, Bòrebo b. marnie, ale 5 bramek tabu’owych, dubu w środku ulicy: każda aura ma swoje dubu. Mały cirque Unevi wspaniały: 2 [dwie] basztami zakończone kopce, pokryte zielenią; między nimi wąska dolina, zakończona ścianą prostopadłą, na kt[órej] latem gra wodospad. Wracam łódką i modlę się do cudnej przyrody. Wieczór zmęczony, nie mam ochoty iść do wioski. Drzemie poprzez modlitwy; idę spać.



Cały ten dzień przeżyłem w zgodzie z rzeczywistością, czynnie, bez chandry. Brzeg pokryty wysokopiennymi palmami, pochylonymi żyrałowato – nadają śliczną ramę głęszemu pejzażowi.

2.XI. Wstaję ze zdeklarowaną migreną. Leżę w euthanacycznym skupieniu na statku. Stracenie subiektywizmu i wyzbycie się woli (odpływ krwi od mózgu?). Życie tylko 5 zmysłami i ciałem (wrażeniowo) sprawia zlanie się bezpośrednio z otoczeniem. Miałem poczucie, że charcząca i tłuczająca maszyna i łódź – to ja; miałem poczucie bezpośredniego ruchu łodzi – to ja tknęłam się o fale i prućem je. Unikam choroby. Wsiadam jak zbity; nie kładę się od razu; jem śniadanie i przeglądam gazety ilustrowane o wojnie. Szukam czegoś o Polsce – nic nie ma. Jestem b. zmęczony, zaraz po obiedzie idę spać – śpię od 2=ej do 5-tej. Nie czuję się świetnie potem. Siedzę nad morzem. Chandra nie przechodzi. Problem Stasia mnie męczy. Faktycznie on postępował w stosunku do mnie niemożliwie. Moje powiedzenie wobec Lodge'a [to] nie było nic złego. Jego sprostowanie było. Jego pretensje są nieuzasadnione, a sposób, w kt[óry] je wyraża, przecina z góry możliwość porozumienia się. Finis amicitiae. Zakopane bez Stasia! Nietzsche zrywa z Wagnerem. Bezwzględnie uznaję jego sztukę; podziwiam inteligencję i wielbię indywidualność, ale nieznoszę charakteru.

Przerwałem pisanie dziennika na parę dni, niestety. Po powrocie z wycieczki – w Poniedziałek – zrobiłem całodzienną pauzę.

We Wtorek 3. nie czułem się też b. dobrze; poszedłem rano do wioski i nie zastawszy nikogo, wróciłem w wściekłością do domu, gdzie chciałem przeglądać notatki – a w rzeczywistości czytałem znów gazety.

Na 2. dzień (4.) rano posyłam Iguę do wioski, ażeby zobaczył, czy są informanci. Znowu nie ma nikogo. Zostaję w domu. Nie to jest we Czwartek. Wtorku nie pamiętam. Dość, że we Czwartek dowiaduję się, że Greenaway przyjechał. Idę do wioski, gdzie G[reenaway] na Orou, ze switą natiwów. Wracamy razem do misji. Po południu idziemy do wioski, gdzie kurują Laurę i gdzie gadamy o ubraniach i innych szczegółach. G. niewiele mi pomaga.

Następnego dnia rano (Piątek 6.) jedziemy do P[or]t Glasgow. Przez cały ten czas czuję się dość marnie. Czytam na umór Monte Christa. Jadąc do P=t Glasgow nie czuję się świetnie, czytam powieść. Jedziemy koło wysepki zamieszkałej, podobnej do Mailu; potem wzdłuż brzegów porośniętych zielonością. Czuję się zbyt marnie, żeby patrzeć i grzęzną w prześcieradle. Nawet we fiordzie, gdzie morze spokojniejsze nie mogę się wydobyć na realność. Ciężar w głowie, ospałość – czytam na łódce, czekając na herbatę. Potem idę na ląd i wsiadam koło storeroomu [magazynu] plantacji. Idę do wioski. Domy o concavnach [concave – wklęsły] dachach i domy o ścianach pod dachem, typu nie Mailu. – Staram się zastać mężów starych i mówiących motu. Wychodzi starszek o sympatycznym wyrazie twarzy, o przezroczyście spojrzaniu, pełnym spokoju i mądrości. Rano informacja idzie niezłe. Wracam, jem na łódce i czytam. Około 5-tej idę na ląd i siedzę nad morzem, w cieniu. Informacja idzie gorzej. Starszek zaczyna łąć o pogrzebach. – Wściekłość mnie bierze, wstaję i idę na spacer. Wilgotne, mgłę gorąco; palmy sagowe. Ogrody; naokoło, ponad drzewami wznoszą się zalesione stoki i szczyty wzgórz. Powódź zieloności. Śliczny spacer, którego nie mogę enjoyować. Zaczynam się

wspinać pod górę; ciężko, gorąco mi, z drogi śliczne coup d'oil [widok] na stoki. Chwilami cudny zapach kwiatu jakiegoś drzewa. Głębokie lenistwo myśli, ujmuję bardziej retrospektywnie, jako doświadczenie utrwalone w pamięci, niż bezpośrednio z powodu fatalnego stanu, w jakim się znajduję. Głębokie przemęczenie przy powrocie. Wracam trochę inną drogą – zdenerwowanie; obawiam się, że zbłądziłem i jestem speszony. Wieczór pod palmami. Igua, Velavi rozmawiamy o dawnych zwyczajach; Velavi otwiera mi nowe horyzonty: o Boborze, o walkach etc. Śpię marnie, świnia mi przeszkadza. Budzę się nieświeży; jadę na launch i czytam Monte Christo. Saville i Hunt zjawiają się. Czytam. Jedziemy do Millport H[about]r. Ślicznie zalesione brzegi, przypominają Clowelly – ale jakież inny aromat! Tego tu nie można przeżywać. Wjeżdżamy w cudny Millport H=r. Wioska, łódzie otaczają launch. Potem jedziemy naokoło, do innej wioski. Wracamy, wspinamy się ku dawnemu druhowi Saville'ów. Czuję się marnie i ledwo liżę. Widok rzeczywiście wspaniały. Na wschód masywne, skondensowane brzegi zalesione otaczają, zgnieciony niejako basen; na prawo wyższe góry nad samą zatoką. Silny, świeży powiew wiatru. Wracamy; rzygam. Po powrocie czytam na launchu; potem wieczorem czytam i kończę M-te Christa, przysięgając, że już więcej powieści do rąk nie wezmę.

W Niedzielę 8. rano gadam z G. potem idziemy do kościoła, potem do wioski, gdzie badamy tattoo dziewczyn. Potem wracamy. Haddon<sup>39</sup>. Spotkanie z całą bandą. Po obiedzie idziemy razem do wsi; przedtem jeszcze pokazuje Haddonowi moje notatki. We wsi Haddon i jego córka objają się; on łódki, ona catsradle<sup>40</sup>. Wracamy do domu – fonograf po kolacji. Wieczór gwiazdy z katarynką.

W Poniedziałek 9. Haddon z familją jedzie do plantacji. Ja rano z G. w wiosce – po południu drzemka – wstaję późno, z G. w domu. Wieczór spacer do wioski. Zabraniam śpiewać hymny, speszzenie przez Haddona. Nie ma tańców. Wracamy. Oni grają w bilard. Ja patrzę na gwiazdy.

We Wtorek 10. z Haddonem do wioski. Ja gadam z G., Puaną i innymi o pogrzebie i zakłęciach. Wracamy do domu łódką. Po południu idę z G. do wioski, obrabiamy łódkę. Wieczór gadam z S. niepotrzebnie o projektowanym małżeństwie z Papuaską.

Środa 11. wstaję późno. Rano czuję się b. podle. Zastrzykuję arsz[enik] i żelazo. Pakuję się. Po lunchu jedziemy dingą [dinghy – mała łódka] do wioski. Bajeczny nastrój wyjazdu i śliczna jazda pod złotym, wspaniałym żaglem. Laruro<sup>41</sup>, zdjęcia Magubu. D[ick] D[e Moleyns] – syn lorda – pijany. Jestem szalenie zmęczony, nie mogę nic robić.

Czwartek 12. rano gadam z Greenawayem o łódkach, potem Dimdim. Po południu znów Dimdim; potem Greenaway; potem spacer krótki; kolacja – idę spać. – Namiętności i nastroje: nienawiść do Haddona za speszzenie, za konspirowanie z misjonarzem. Zazdrość o specymeny [specimen – okaz], które on dostaje. W ogóle silne przytępienie. Ale po skończeniu M-te Christa praca dość porządna.

Dzień 12.XI. był wyjątkowo energiczny. Rano wzięłem kąpiel. Potem dużo robiłem i pisałem, i zbierałem informacje efektywnie.

13.XI. Po niezłej przespanej nocy wstaję dość rano, piszę dziennik i dość wcześnie idę po informacje do małej wioski (Charlie + Maga). Informacja idzie dość ciężko, jakkolwiek nie bezowocnie. B. gorąco. Zaczynam się czuć dość podle.

Wracam prawie że mdlejąc. Drzemię na workach z bawełną. Potem obiad – jem za dużo. Potem śpię do 4 1/2. Potem zbieram się iść do Kurere<sup>42</sup>. Przed pójściem rozmawiam z Dimdimem i dochodzę do ostatecznego zniecierpliwienia – zamykam notes. Hon.D.D. ma potwornego kota, bo poprzedniego dnia skończyła się whiskey. Greenaway wyjeżdża rano. – Wieczorem idę do Kurere; nie jestem b. zmęczony. Idę swobodnie. Światło latarni buduje z palm pośród nocy jakieś dziwne sklepienie i fantastyczne wnętrza. Nad brzegiem pośród korzeni mangrowów wykarczowanych, liczne, duże domy stoją rzędem. Tańczą TSELO – najładniejsza z melodii tu słyszanych. Patrę i odczuwam zadowolenie artystycznej i naukowej ciekawości. Bądź co bądź w tem jest dużo z prymitywnego człowieka, z epoki kamienia polerowanego. Przychozą mi na myśl refleksje o niezmiernej sztywności zwyczajów. Ci ludzie trzymają się pewnych określonych form tańca i melodii – pewnej sztywnej kombinacji błazeństwa i poezji. Mam wrażenie, że zmiany mogły następować tylko niezmiernie powoli i stopniowo. Niewątpliwie zetknięcie dwu sfer kulturalnych musiało też mieć dużo do czynienia ze zmianą zwyczajów.

14.XI.14., wieczorem.

Siedzę z Dirty Dick, z którym przed chwilą rozmawiałem. Teraz on czyta jakiś stary artykuł czy nowelkę z magazynu; ja poddaję się chwilowo chandrze. Jak w górach przez mgłę, gnany wiatrem, przegląda raz ten szmat widnokregu, to znowu inny się odsłania, tak mgła chandry, ciemności spowijająca, odsłania tu i ówdzie dalekie, odległe widnokregi, wspomnienia; snują się one jak owe obrazy światów odległych, leżących u stóp wśród mgły górskiej. – Czuję się dziś znacznie lepiej. Chwilami zamroczenie, senność – niby w Reading Roomie<sup>43</sup>. Ale w ogóle brak tego beznadziejnego wyczerpania, które mnie wczoraj omotało. Dziś chwilami wdychałem pełną piersią piękno tutejszej scenery. Charlie i Dimdim obydwa byli dziś na wyspie Amoro. Postanowiłem pojechać. Pod żółtym żaglem (?) swe skrzydła jak ptak olbrzymi bajeczna jazda. Poczucie, że się jest mocnym na fali – na tratwie takiej – bezpośrednie zetknięcie z morzem. Na[d] mleczną zielenią wody – niby turkus przezroczysty fioletowe sylwety gór, jakby cienie rzucone na ekran mgły. Za mną, nad drzewami dżungli pokrywającej płaski brzeg wychyla się wyniosła piramida pokryta lasem. Przedem mną lśniący pas piasku żółtego, nad nim sylwety palm jakby wyrosłych z morza. Wyspa koralowa. Woda pluszcze między deskami platformy – przegląda morze dziurami i przyska rozbijając się o brzegi łódki. Mielizna. Chłopcy pchają łódkę. Dno przegląda – purpurowe rozgwiadzy wśród przezroczystej zieleni. Z daleka Mailu – zamglona sylweta o szlachetnym profilu wulkanicznej skały. Mała wioska o paru dobrze zbudowanych domach typu Mailu i kilku ruderach bez charakteru. Na nagim piasku parę drzewek – zresztą szare domki, ciemne słupy wyrastają z fal piasku żółtego. Otoczone płotem – mimo to świnie najspokojniej spacerują pod domami. Charlie i paru starców. Piłują narzędzia kamienne. Przy mnie tłuką obsydjan<sup>44</sup> – ja sam odtłukuję flak. Gołą chłopca. Jem orzech kokosowy – idę spać. Wracam do Dimdima i pijuję gwiazdy. Zmęczenie. Potem rozmawiam swobodnie o Madunie<sup>45</sup>, o tańcach, o domu. Wielkie poruszenie i dwa dugouty [dug-out – łódź z wydrążonego pnia] pojawiają się na morzu. Chłopcy rzucają się [na] łódki i walą co sił. Krzyki – rady rozlegają się naokoło.

Dugouty z outriggerami – jakby wlokąc dziwny cień za sobą ślizgają się po morzu. Z daleka białe łby wal [fal] rozbijających się o rafę koralową. Na Zachodzie szkarłatne plamy na ciemnym, zachmurzonym niebie – dziwnie ponure – jak wypieki na schorowanej, śmiercią napiętnowanej twarzy (jak przedśmiertne wypieki na schorowanej, dogorywającej twarzy). Siadam – w pozycji niestałej równowagi – na dugout'e jadę do Lugumi. Rozpięty żagiel. Płyniemy w rzędzie. Ciemne deszczowe chmury. Na Płn.Z. łyska się, Igua twierdzi, że to znak Laurabady wzmocnionej (Płd.Wsch. pasatu).

Wieczór z D.D. – Sylwetki: a) białe, 1. Hon. R. DeMoleyns, zwany „Dirty Dick” – syn lorda irlandzkiego, protestanckiego. O rasowej, szlachetnej sylwetce. Urzędnik jak be-ła jak długo zapas whiskey się nie wyczerpie. Po wytrzeźwieniu (byłem obecny przy ostatniej butelce whiskey) dość reserved i kulturalny; z wybitnie dobrymi manierami zb. przyzwoity. Mało wykształcenia i mało kultury umysłowej.

2. Alf[red] Greenaway „Arupe” z Ramsgate czy Margate, ze sfery robotniczej, chamisko niezmiernie poczciwe i sympatyczne; wciąż „bloody”[cholerny] i dropuje „he” i żonaty z autochtonką; czujący się fatalnie w porządnym towarzystwie, zwłaszcza kobiet – nie mający najmniejszej ochoty wyjechać z Niu Gini.

b) kolorowe. Dimdim (Owani) – nowoczesny Orestes – zabił matkę własną w przypiływie Amoku. Nerwowy, niecierpliwy, wcale inteligentny. Życie z Demolinem w zupełnym zdziczeniu – nieogoleni, w piżamach, w szalonych brudach – w domu bez ścian – 3 werandy rozdzielone przepierzieniami – b. mi się podoba. Znacznie lepiej niż życie w Mission Housie. Olcza ulepszona. Gromada chłopców na usługi b. przyjemna.

Kwato. 29.XI.14.

Potem następuje dość długie zamglenie. W Niedzielę 15.XI. rano wstałem dość wcześnie i zabrałem się do roboty. Chciałem popracować nad notatkami. Pomimo wysiłku nie byłem w stanie. Głowa nie odpowiadała. Koło 11=stej Saville (nieprzyjemne wrażenie), czuję się b. podle i nie mogę pracować. Gadam z D.D. Po objedzie czuję się już całkiem źle i idę do łóżka. O 5=tej nie chcę iść do Saville'ów – leżę na pryczy koło bawełny i beche de mere. Czuję się chory, opuszczony, zrozpaczony. Wstaję, okryty pledem siadam nad morzem, na kłocu. Na mlecznym, mętym niebie – jakby wypełnione zmaconą, brudną cieczą – fiolet różowy zachodu; przepelnia wszystko, pokrywa morze ruchomą, powłoką różowego metalu – zamykam na chwilę świat w jakimś zamurowanym, dziwnym zakłęciu urojonego piękna. Fale rozbijają się o żwir u stóp moich. Wieczór samotny, mało co pozeram z bogatej kolacyi.

Poniedz[iałek] rano: morze dość niespokojne, kładę się i nic nie widzę z ślicznego pejzażu między Moguba a Mailu. W domu siedzę i czytam gazety – zmęczenie, przygnębienie, doza długiej disability [niemocy]: głowa zupełnie anemiczna. D.D. wyjeżdża przed lunchem.

Wtorek 17. S. wyjeżdża rano. Staram się trochę przegłądać notatki, ale b. nieśmiało. Czytam Kiplinga, nowele. Epoka przygnębienia, braku nadziei w możliwość pracy, przypominam owo lato w Anglii. Muszę się czuć b. podle. Prawie, że rezygnacja co do dalszej pracy. Jestem b. kontent z planu jazdy na Płdn. – W czytaniu nowel staram się utopić rozpacz. B. prawdopodob[nie] choroba morska skumulowana z rodza-

jem przeziębienia w Mogubo doprowadza mnie do podłego stanu zdrowia.

We Środę 17. próbuję iść do wsi i trochę pracować, ale wszystko b. ostrożnie i bez zaufania w swe siły. Wieczór czytam Kiplinga. B. byczy artysta (oczywiście nie w porównaniu z Conradem) i b. sympatyczny facet. Przez jego powieści Indje zaczynają mnie pociągać.

We Czwartek czuję się lepiej i zaczynam robić trochę gimnastyki – cierpię na bezsenność tych nocy, czuję nerwowy niepokój w całym ciele. Zaczynam się czuć bez porównania lepiej, zwłaszcza któregoś tu dnia, kiedy wziąłem chininę (Piątek?). Potem znowuż jeden dzień relaps [nawrót]. Główne interesy w życiu: Kipling, chwilami silna chandra za Matką – rzeczywiście, gdybym mógł pozostawać w komunikacji z matką nie dbałbym o nic i chandra moja nie miałaby głębszego podkładu. – W ogóle zaczynam czuć się mniej beznadziejnie, jakkolwiek bynajmniej nie świetnie. Arsenik zastrzyknąłem ostatni raz 18. b.m. – t.zn. 12. dni temu. To zbyt długa pauza! Przez ten czas podlegam urokowi Kima<sup>46</sup> – b. ciekawa powieść i daje dużo wiadomości o Indjach. Przez czas nieobecności Saville'a pożycie z Saville'ową wcale niezłe. Ona znacznie b=ej ożywiona. Parę razy rozmawia ze mną o przedmiotach etnologicznych i raz nawet interpretuje [tłumaczy] dla mnie Jenama. – Saville przyjeżdża w Poniedziałek (23?) tak. Wyjazd do Samarai przyspieszony. W Poniedziałek rano idę do wioski i robię zabawki i wychowanie z DAGAEA<sup>47</sup>. Po południu zbieram genealogiczny census [spis ludności] wioski. Irytują mnie konszachty Saville'a z Armitem i znęcanie się nad ludźmi, niechętnymi misy. Zbieram w myśli argumenty przeciw misjom i namyślam się, w jaki sposób by można najskuteczniej przeprowadzić kampanję antymisyjną. Argumenty: ci ludzie niszczą radość życia krajowców; niszczą ich psychologiczny *raison d'être* [racja bytu]. To co dają natomiast jest zupełnie poza dzikimi. Starają się oni walczyć konsekwentnie i bezwzględnie z wszystkim co stare i wytworzyć nowe potrzeby, materialne i moralne. Są niewątpliwie szkodliwi. – Chcę o tem pogadać z Armitem i Murrayem. O ile możności też z Royal Commission. – Armit obiecuje mi, że każe mnie „obnosić” po swoim dystrykcie. B. mnie to uspokaja i cieszy. To samo będę mógł zrobić w okolicach Rigo –

We Środę 25. pakowanie. Jakieś rozklejenie nerwowe, sentymentalna chandra. Żal za skończoną epoką i trema, co będzie dalej. Myślą jestem często w domu. Odbijam i utrwalam fotografie. Odkrywam, że *t* odbita na selftoning paper [samotonującym papierze] i odbijam ją. Widok smutnego – może jeszcze zakochanego? – wyrazu twarzy przepełnia mnie bolesną chandrą. Przypominam nastroj w czarno obitym pokoju<sup>48</sup>, tamtego ciemnego popołudnia, kiedy mąż nas zastał ostatecznie i ona nie mogła wyjść ze mną. – Chwila silnej, głębokiej miłości – widzę w jej twarzy urzeczywistnienie ideału kobiecości. Jest mi znowuż nieznośnie, nieopisanie bliska. Jest znowuż moja *t* – co ona teraz robi? Jak daleko jest ode mnie? Czy pamięta jeszcze uczuciem? –

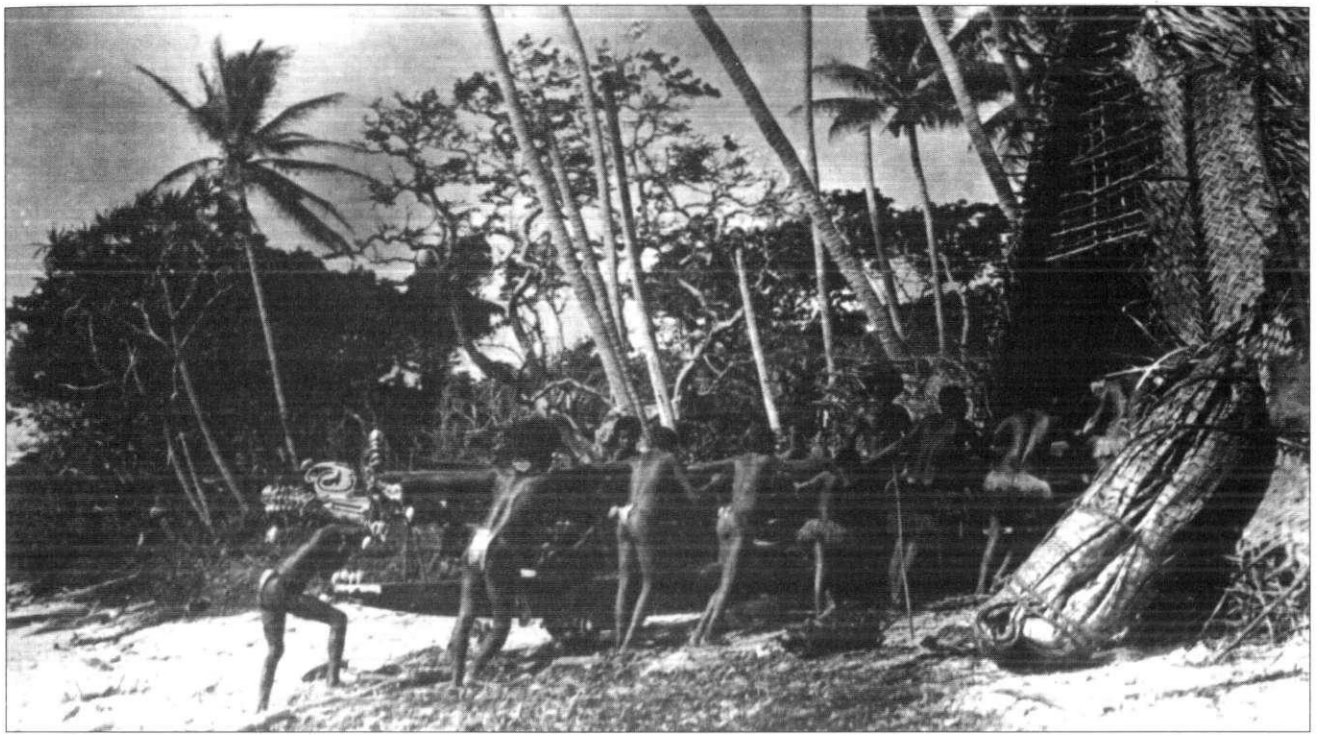
We Środę nie idę do wioski. Idę spać wcześniej, śpię kiepsko.

We Czwartek 26.XI. o 5-tej rano – cudny nastrój poranku, ślubuje, że będę rano wstawał stale – wyjeżdżamy. Chwilę patrzę na Mailu – wspaniałe, powyginane żebra górskie. Potem kładę i leżę już przez jakie 4-5 godzin. Nic bym zresztą nie widział, bo wszystko pokryte gęstą mgłą. Choroba morska bez rzygania, nieznośna, ale bez zrozpaczenia. – Koło Bona-Bo-

na<sup>49</sup> wstaję i siedzę, z silnym bólem głowy. Zamglone pagórki, dość suche i nie wściekle piękne. Isulele Bay b. ładna, wysiadamy. Przypomina góry na L[ago] di Garda – szeroki grzbiet pokryty zielonością. – Rich, sympatyczny, rzewny, jowialny jegomość – sądzę, że wolałbym go znacznie lepiej niż Saville'a. Idę na górę, lunch. Rich emabluje mnie b. uprzejmie. S. jest, w ogóle mówiąc, niemiły. Po lunchu i po długiej pogawędce o polityce etc. Rich odprowadza mnie na dół; ja czytam *Time*-sy i w ogóle nic mnie bynajmniej nie ciągnie ku badaniom etnograficznym]. Około 5-tej jadę do wioski i poddaję się artystycznie wrażeniom nowego Kulturkreistu [kręgu kulturowego]. W ogóle wioska robi na mnie niesympatyczne wrażenie. Domki starego typu, z wygiętym dachem są niewątpliwie ciekawsze i ładniejsze niż domki Mailu. Ale pewna dezorganizacja, rozrzucenie wiosek; bacirowatość i namolność ludzi, którzy śmieją się, gapią i liżą, peszy mnie trochę. Widzę 3 typy domków – trzeba się będzie porjentować w tym wszystkim. – Wieczór u Richów, kolacja, schodzę i czytam; idę spać późno. Rano wstaję; idę na śniadanie spóźniony, potem pracuję trochę z pomocą syna Samoanczyka. Silne zmęczenie i przytępienie. W Isuele w ogóle b. gorąco. Po lunchu kładę się spać i śpię do 4-tej potem znowuż trochę pracuję. Wieczór – kapiatan Small, bilard. lekkie starcie z Saville'em.

W Sobotę 28 o 4-tej wyjeżdżamy. Leżę do 6-tej, potem wstaję. Śliczny pejzaż. Brzegi jeziora Waldstadt z framą [frame – rama] palm na samym dole. Jazda przez kanał Suau. Myślę jakby było byczo mieszkać tam na stałe. Fantastyczne, widocznie świeże wulkaniczne skały o ostrych konturach, o basztach i turniach silnie osadzonych po przełęczach i szczytach, spadają stromo w morze, sięgając ciemną skałą w głębie. Siedzę, patrzę i nucę. Umysłowo jestem przytępiony chorobą morską i bez hedonizmu ale wchłaniam wroko-wo rozkosz pejzażu. Za Suau góry schodzą i ustępują na lewo; z daleka wyłaniają się wykwity wysokich gór po drugiej stronie Milne Bay. Bajeczny efekt rafy koralowej, wyglądającej z głębin. – Powoli występuję z zamglenia oddali sylweta – Rogei – thrill [wzruszenie] – nowa faza Pacyfiku. Cały ten czas siedzę na wierzchu statku. – Przyjazd do Kwato. Abel<sup>50</sup> – przypomina Don Pepe Dunque. Szalone zmęczenie i senność. Siedzę na werandzie i feuilletuję Chalmersa<sup>51</sup>. Cricket na dole. Ładne dość i wcale miłe dzieci. Cała rodzina, tak zresztą jak i rodzina Richów robi b. sympatyczne wrażenie. – Lunch; potem jazda na Rogeje. Rozmowa z D=rem Shaw, zbieraczem karaluchów. Decyduję się zostać na Kwato. Przyjazd z Saville'em, kt[ó]ry proponuje mi przejrzanie manuskryptów. Kolacja u Abelów. Rozmowa z Abelem o dzikich i o Maoryi. Wieczór i ranek nad wodą. Przedemną błękitne fale – a raczej płaska, gładka woda. Z tyłu lesiste pagórki mainlandu [lądu stałego]. Na lewo koniuszki Rogei, domki wśród palm. Przedemną mała zielona kopułka wysepki. Wszystko b. ładne. B. byczy nastroj. – Dziś rano zgubiłem agrafkę, kt[ó]rą pożyczyłem *t* w Sundgate. Znowu chandra i poczucie że się w niej kocham. –

W Niedzielę 29. siedzę w domu rano i piszę powyższe słowa, czując początek zmęczenia. Koło 11-tej schodzi Saville i Ellis i gadają chwilę. Potem, koło 11¼ idę powoli, z wyraźnym osłabieniem, na górę. Nabożeństwo z Ablem. Siedzimy w czworokątnej kapliczce czy łoży, wyglądającej na rotundę. Smród b. wyraźny. Nabożeństwo długie z parokrotnie powtarzanymi hymnami. Czuję się b. zmęczony i wyraźnie zdemoralizowany. Po nabożeństwie Abel zapoznaje mnie z Johnem,



swoim najlepszym informatorem. – Potem schodzę na lunch. Po lunchu jadę dingą z Iguą, Utatą i Sanjawanim do Samarai. Jedziemy tuż koło Rogei. Przez nieskazitelnie przezroczystą wodę widać fioletowe i brązowe kamienie w zielonym blasku. Nad morzem schylone palmy wysuwają się z splotów zielonej gęstwy. Nad nimi straszne ściany pagórka niezbyt wysokiego pokryte wysokimi drzewami i gęstym poszyciem. Zieleń ciemna wzgórz i dżungli wszechpotężnej i pełnej wdzięku, zieleń jasna wody przezroczystej; niebo zastygłe w wiecznej pogodzie, lazur głęboki morza. Na tem – sylwetki dalekich niezliczonych wysp; bliższe wyraźne zatoki, doliny, szczyty. Góry łądu stałego – wszystko niezmierzone, skomplikowane a jednak bezwzględnie harmonijne i piękne. Przede mną Samarai w spokojnym omdleniu pogodnego popołudnia niedzielnego. Oczekiwanie. Idę do Higginsona<sup>52</sup>, kt[óry] nie b. uprzejmie ofjarowuje pomoc i komunikację, ale przyjmuje mnie dość chłodno. Potem schodzę; nie zastaję D=ra Shaw, kt[óry] mnie poprzednio b. uprzejmie przyjął i zapraszał. Schodząc spotykam Salomona, z kt[órym] rozmawiam o roślinach etnologicznych, zachęcam i objejuję kooperację. Z nim razem idę do Ramsay'a; b. sympatyczne wrażenie i uprzejme przyjęcie. – Potem do D=ra Shaw, kt[óry] mnie zatrzymuje na kolację; jestem dość brylantny [brilliant – olśniewający] i czuję się w byczym sosie. Wracam dość późno; chłopcy głodni. Deszcz leje poprzednio (to mnie zatrzymało na kolacji). W nocy deszcz przecieka na mnie, budzi mnie; kaleczę się w palec wielki lewej nogi. Rano pracuję z Saville'em; potem on jedzie ze mną do Samarai. Każe mi czekać aż do 12-tej, co mnie peszy, ponieważ D=r zaprosił mnie na lunch. Przyjeżdżam o 12-tej z minutami do Sa[marai]. Higginson daje mi bumagę do Jailu [jail – więzienie]. Nikoll, staruszek o purpurowym nosie, idzie ze mną; prisonery [prisoner – więzień] stają pod rjad; wybieram paczkę na przedpołudnie. Lunch u D=ra dość ospały; olbrzymi ananas b. soczysty, dość kwaśny. Idziemy z Shaw'em do szpitala; potem do więzienia. Z początku jestem trochę speszony; potem idzie mi lepiej. Charlie b. sympatyczny facet, nie tak inteligentny, jak Ahuia. Koło 6-tej wracam; o 7-tej Saville przychodzi. –

Wtorek 1. grudnia rano Saville, jak zwykle; staram się być uprzejmy i unikać frykcyi [friction – tarcie] – co jest dość trudne. – Któregoś dnia np. – we Wtorek właśnie, miałemjechać dingą do miasta. S. ofjarowuje mi launch, ale każe czekać nieokreślony czas. Ja powiadam, że wobec tego wezmę dingę; na co on powiada, że mi nie może dać dingi. Przez cały czas tych tranzakcyi nie straciłem panowania nad sobą. – We Wtorek rano pracuję jaką godzinę w Jailu. Shaw zaprasza mnie znowu na lunch; umawiamy się na spacer na Czwartek do Ebumy. Potem schodzę do Jailu. 2 chłopców z Rossel I[sla]nd nietędy. O 4-tej idę do Ramsaya i aż do 6-tej przeglądamy narzędzia kamienne. Facet (Hyland), który potem obiecuje darować mi parę curious[itie]s – unikatów, zwraca głowę i nic nie robi. – Wieczorem we Wtorek S. zdaje się też przychodzi – czy też ja idę na górę i rozmawiamy o Conradzie; ja biorę Youth.

We Środę przyjeżdża po mnie Government Whaleboat [rządowy statek wielorybniczy]. 1. raz jadę pod żaglem. Olbrzymia frajda w nieosobowej, cichej, tajemniczej sile wiatru. Załoga złożona z 10 ludzi – mam poczucie Sahibowatości. [skreślone: Rano w Jailu; poznanie się z Anglikiem z N. Gwinei niemieckiej] Nie jeszcze. Przedpo[łudnie] w Jailu – zbieram się dość późno. Lunch, składający się z 3 tabliczek

czekolady zjadam idąc naokoło wyspy. Śliczny widok na Płd.Wsch., na otwarty Pacyfik z ładnie wyłożonej ścieżki. Przez chwile poczucie, że morze jest ładniejsze, kiedy na nie patrzymy z cywilizowanej abstanowki. Po południu w więzieniu. Nagle popłoch. 2 destroyery [niszczyciele] z błyskawiczną szybkością wyjeżdżają. Widzę Union Jacka [banderę brytyjską]. Idę do Ramsay'a – nie ma go; idę na brzeg. Rozmawiamy z majtkiem. Potem u Ramsay'a. Potem kolacja b. smaczna i miła. Piję piwo i psioczę na misje, w czym Hig. zgadza się ze mną, a facet sympatyczny i szczerowaty, Naylor, broni misjonarzy. – Odprowadza mnie on do Whaleboatu. Jadę o księżycu do Kwatou.

We Czwartek 3.XII.14. pracuję z Saville'em kiedy anonsują Morinder. Jadę Whaleboatem. Dowiaduję się, kiedy Mor. wyjeżdża. W Jailu zapoznanie się z policjantem, wracającym z German N.G. 6 [sześciu] więźniów, którzy obili misjonarza. Wizyta na statku. Mordy Niemców. Mrs. de Ridghi. Chłodne pożegnanie z Saville'ami (Rano miałem mocno niemile zawarcie układu i zapłacenie za launch z S.). Rozmowa z policjantami. Silne i energiczne postacie krajowców z German N.G. Spóźniam się mocno na launch u Shawów. Poznają tam Stanley'a, geologa rządowego. B. sympatyczny i uprzejmy, trochę rough [niedelikatny]. Układamy się, że ewent[ualnie] następnego dnia będziemy pracować w kamieniach. Potem z D=rem jadę na Ebumę. Nie mogę pracować (b. bycza kobieta; główny strażnik Kiwai). Proponuję mu yachting cruise [podróż jachtem]. Jedziemy do Rogei, potem ku Saribie. Mocne fale mnie peszą chwilami. Wracamy, cudny wieczór. Wracam moim dużym whaleboatem. Idę potem rozmówić się z Ellisem i obaj psioczymy na Saville'a. Jednego żałuję, że traktowałem S. zbyt przyzwoicie. Ellis schodzi i gada ze mną o różnych rzeczach. –

W Piątek rano, jadę dingą do Samarai. Tranzakcyja z Aumullerem, kt[óry] mnie zaprasza na lunch. Potem praca u Ramsay'a ze Stanley'em. Charlie nie przychodzi. Uczę się dużo i lubię Stanley'a. Lunch z Aumullerem. Cudny, szeroki widok z werandy. Rozmowa o Niemcach i wojnie – o czym niby? Potem znów u Ramsay'a. Potem schodzę się z Haylandem, kt[óry] mi daje instrukcje. Wieczorem rozmawiam z Leslie'em<sup>53</sup> o whalrze [marynarzu statku wielorybniczego], kt[óremu] zarzucano chorobę weneryczną. Czuję się at home [jak w domu], en pays de connaissances [kraju znajomym], w Samarai. Wracam do Kwato – nie czuję się zbyt tego i idę spać zaraz, nie czekając aż Ellis zejdzie. Od czasu do czasu ogarnia mnie wściekłość na Saville'a i jestem zły, że nie wiedziałem o tem, że Ruby jedzie do Mailu.

W Sobotę jadę dingą dość wcześniej do Samarai. Przez krótką ulicę zalaną osłepiającym słońcem, brukowaną miłkim, białym piaskiem, idę pod cieniem olbrzymiego figusa, między Rectory [probostwem] a kościołem, do domku Stanley'a. Widzi mnie on z daleka i przychodzi. Równocześnie zamawiam Charlie'a z dwoma więźniami. Robimy odkrycie co do obsydianowej siekiery i co do klasyfikacyi siekierki na użytkowe i ceremonjalne. Jestem faktycznie zainteresowany tem, co robię. W południe chciałem zjeść lunch w hotelu Lesliego, ale wpadam na pijaka, który mnie zaprasza i muszę dekomponować [decompose – rozkładać się]. Idę na ławkę nad morze i żuję czekoladę i suchary. Po południu wracam do Stanley'a; pracuje z nami Hyland – potem przychodzą Orakivy, które identyfikują obsydianową siekierekę. Wieczór idę na chwilę do doktora; potem z Iguą wiosłujemy do Kwato.

Niedziela. Nie zdążyłem się spakować, jadę łódką doktora, pierwszy raz sterując. Jadę b. wolno, bo za mało przesunąłem się w kierunku wiatru. D=r spotyka mnie na quai'u [nabrzeżu]. Jedziemy via Roge, potem Sariba, potem jeszcze jeden track na prawo i wjeżdżamy w zatokę. Przez ten czas morze zdążyło mnie spieszyć – lekka choroba. Chłopcy z Dobu<sup>54</sup> b. przystojni i sympatyczni, śpiewają; Igua w dobrym humorze. Oglądamy dom, okradam grób, grzebię i znajduję fountain pen [wieczne pióro]. Wracamy szybko. Kolacja u D=r. Speszony jestem i wściekły brakiem dinghi; podejrzewam boyów o konspirację zainstygowaną [instigate – podżegać] przez Saville'a. Robię awanturę Arysie, kt[ó]ry wydaje się pokorny i posłuszny. To mnie uspokaja. Igua pakuje, ja czynam.

W Poniedz[iałek] 7.XII. żegnam się z Ellisem i ze starą panną, na wierzchu Daby, której nie lubię przez asocjacje z Saville'em. – Pogodny dzień – morze zalane słońcem. Żegnam się z otoczeniem Samarai. Wracamy do Kwato [ten drań Hyland Igał – nie zostawił żadnej paczki w B.P.]. – Jestem w ogóle źle usposobiony do całej drogi i do chłopców. Tiabubu nie chce ze mną dyskutować o etnologii, co mnie peszy ostatecznie. Siedzę na wierzchu i patrzę na pejzaż, prawie że go już nie pamiętam. Nie patrzę na śliczny kawałek, który przypomina Castel del'Uovo [w Neapolu]. Blisko Suau śliczny pejzaż: na prawo w głębi wysokie strome pasmo gór. Na lewo szereg wysp. Suau wygląda b. ładnie. Na lądzie zapoznają się z grupą ludzi, mówiących po angielsku: Biga i Banarina. Potem jadę na lagunę. Śliczny widok: b. wąskie wejście, prawie koliste jezioro; płaski brzeg porośnięty wysokimi drzewami, w głębi wysokiej góry, ładnie zarysowane. Na brzegu siedzę na ludożerczej gahanie i rozmawiam z Imtuga, mistrzem w rzeźbieniu; byczy nastrój. Wracamy, noc wyiskrzona gwiazdami; rozmawiam z chłopcami o gwiazdach, wiosłuję. – Potem Biga i Banarina przychodzą do mnie i gadają; jestem b. śpiący. –

Na 2. dzień droga do Nauabu. Za mną płaski i, z tej strony, nieinteresujący Straits of Suau [cieśnina Suau]. Przez chwilę otwiera się widok na lagunę; potem szerokie i zatoki z poszarpanymi, wulkanicznymi turniami, i ostrymi zębami grani. Farm bay na pozór płaska i nieinteresująca. W miarę jak wjeżdżamy coraz ładniejsza. W głębi góra z paru mnichami. Na prawo kopa ostra. Brzegi z framką palm.

Mailu 19.XII.14.

Dziś czuję się znacznie lepiej – dlaczego? Czyżby arszenik i żelazo działały na tak długi dystans? Przyjechałem nareszcie do Mailu i nie wiem naprawdę, a raczej nie widzę jasno przed sobą, co mi należy robić. Epoka zawieszenia. Przyjeżdżam do pustynnego miejsca z uczuciem, że niedługo przyjdzie mi skończyć, a tymczasem trzeba zacząć nową egzystencję. – Dokończę systematycznego opowiadania zdarzeń, po kolei. Wjeżdżając do Nawapu, byłem trochę zmęczony kołysaniem, chociaż właściwej choroby morskiej nie miałem. Prawie zawsze, wysiadając na ląd, jestem trochę przyćmiony. W Nawabu otaczała mnie, obejmowała mnie wspaniałość roślinności podzwrotnikowej, roztaczająca się w majestacie geometrycznej prostoty form: półkolista zatoka, dwie piramidy gór. prosta linia zachodn. brzegu, biegnącego wprost do morza. Tu i ówdzie spośród palm wyglądają domki. Boo łamie wiosło tuż przy brzegu. – Wśród regularnie posadzonych, niskich kokosów domek native teachera. Przyjmuje mnie chuda, wymizerowana Samoanka orzechem koko-

sowym; stół przykryty serwetą, kwiatki na stole, girlandy kwiatów naokoło pokoju. Wychodzę, gromada ludzi, paru boyów mówi pidgeon English [pidgin English – uproszczona angielszczyzna]. Idę ku Rialu, skąd idzie naprzeciw mnie Samadu. Ani jednej gabany (zniszczone przez misjonarza!); ani jednego grobowca. Domek zbudowany fasonem Misima „turtleback”. Włazę do środka. Zdaje się, że jest to tylko skład na rzeczy „yam house” [spichlerz na yam]. Zdobywam rzeźbioną „prow” [dziób] łódki wojennej. Samudu, wysoki, dobroduszny, usłużny facet, mówiący niezłe po angielsku i motu. Idziemy koło łódki Dagoisiu (Charley) z Loupom. Potem inspekcja domków, przygotowujących się na święto. Wspaniałe domy, świetnie wykończone, z wizerunkami zwierząt totemicznych na froncie. – W rogu jednej z chałup widzę bagi etc. – SOBO – które jest taboo – i początkowo myślę, że jest ono połączone z potrzebą zrobienia „pigs plentiful” – rodzaj Intichiumy<sup>55</sup>. Tymczasem okazuje się, że chodzi tu tylko o przyciągnięcie świń na Soi. – W każdym razie odkrycie ważne; – jedyna forma religijnych ceremonii. – Nie mam kamery, odkładałem zdjęcie. Po lunchu kładę się spać – zmęczony wstaję. Samudu nie przychodzi, jadę łódką i kąpię się. – Wieczór idę, ale nie ma tańców. Jestem porządnie zmęczony. Po raz pierwszy słyszę przeciągły, przenikliwy dźwięk muszli dętej – kibi; przytem potworny kwik świń i ryk ludzi. Wśród głębokiej ciszy nocnej robi to wrażenie jakiegoś tajemniczego okrucieństwa – czegoś co nagle rzuca światło – pomoc – na jakieś zamierzcze ceremonie ludożercze. Wracam b. zmęczony.

9.XII. Po śniadaniu kupuję matę dla Iguy, daję napiwek Samoance i rozstaję się z nią w przyjaźni. Jedziemy – nie pamiętam pejzażu – wysoka góra Farm Bay zasłania Suau. Isuau nie wygląda [?] odświętnie. Wąski pas piasku z obu stron objęty zaroślami mangrowów, z silnym smrodem psującej się morszczyzny. Przed wioską domek teachera, w który „zajeżdżam” z całym „kitem” [kit – rynsztunek]. Idę na wiochę. Grupy i gromady ludzi siedzą pod drzewami, koło łodzi, na werandach. Dużo świń; odświętne ubrania; parę kości w nosie – wyłącznie kobiety. Parę osób z bagi i samakupa na szyi. Kije hebanowe w ręku. Żałoba wysmarowana na świeżo – błyszczą się jak kominiarze. Witam się z „bossem” [naczelnikiem] „tanuwagana”. Wracam – wychodzę parę razy, ażeby zobaczyć, jak przynoszą świnię. Po południu idę znowuż. Rozmawiam z Tomem i z Banarim; dwoma ekspolicjantami. Robię snapshot [zdjęcie migawkowe] przynoszenia pigu. – Włóczę się i kupuję parę „curious”.

W Czwartek rano spaceruję w pyjamic; oglądam łódkę. Amuiuwę z Amony, wspaniałe rzeźbioną; chodzę między ludźmi, którzy ledwo zwracają na mnie uwagę. – Awantura o świnię z sierżantem – zdaje się, że 1. dnia popołudniu. 1. dnia wieczorem robię znajomość z Sixpencem i Janusem, moimi późniejszymi przyjaciółmi. We Czwartek po południu znowuż włóczę się i obserwuję.

W Piątek 11.XII. Rano obserwuję ciekawą ceremonię zapłaty z Sinesaramonamona; potem idę i siedzę na świniami w domku tanuwagany; mocno znudzony tem, co się dzieje. Po południu idę jeszcze raz, mając nadzieję, że odbędzie się ceremonialne zarzynanie świń. – Tego w rzeczywistości, zdaje się, że całkiem nie ma. – Koło 4=tej jadę dingą do Isuele. Cudne popołudnie, przepelnione różnorodnymi światłami. Przede mną olbrzymia ściana zielona przesycona złotem słońcem ślizgającym się i wciskającym wśród zieleni, płoną-

cem jasno na kredowych kołach. Morze gładkie, naokoło przestrzeń otwarta, pełna błękitu. Spokój pogodnego popołudnia; odświętność. Czuję, że pozwalam sobie na swobodę. Rich przyjmuje mnie uprzejmie i gościnnie – bez ceremonii. Idę na spacer pod górkę. Bajeczny widok na stok górski – teraz wypełniony różowym światłem Zachodu i na zatokę. Bierze mnie chandra; wyję motywy z Tristana i Izoldy. Tęsknota za „domem”. Przypominam różne sylwetki z przeszłości, Tonię Stern, Żenię. Myślę o Matce – o Matkę jedną dbam na prawdę i naprawdę się niepokoję. No i o byt, na przyszłość. – Wracam do Richa. Kolacja. Jazda z powrotem. Utala i Velavi; niosą mnie wśród bagna mangrowowego. –

W Sobotę 12.XII. rano zbieram się (wstaję b. późno) i idę do wioski. B. opustoszała. Przychodzi Rich. Daje tytoń i dostaje świnię. Oglądamy razem fish-trap [pułapka na ryby]. Richowa robi zdjęcia. – Wracam z nimi; jadę dingą. W Isuele lunch – przejeżdża Rolly z Bastard'em. Potem, po południu, rozmowa o Soi za pośrednictwem Laury. Potem z Velavim robię wycieczkę łódką naokoło wyspy. Byczy nastrój ustępujący nocy wśród gąszcza szalonych mangrowów – polanki wodne; wśród drzew pnących się na kamienistej wysepce. Kolacja, Bastard spóźniony. Grają w bilard. Ja słucham potwornego gramofonu, który mnie bierze („Unter dem Doppeladler” i marne walce). Śpię.

Na 2. dzień śniadanie u Richów, którzy mnie b. gościnnie zapraszają na dłuższy pobyt. Żegnam się z dziećmi i z nimi; daję 1/. Samoanczykowi, który mi za to daje wachlarz. – Morze za Fife Bay (obserwuję wysepki, na kt[órych] cmentarze) mniej spokojne niż w Poniedź. i Środę. Mijamy jedną głęboką zatokę. Boye nie wiedzą, gdzie jechać. Pytamy się małej łódki. Silo Silo na prawo. Kolistą zatoką, objęta dość spadziestymi choć niskimi pagórkami, bez zakamarków, o wąskim wyjściu. Wrażenie górskiego jeziora – stawek Smerczyński. Jedziemy na lewo, dowiadujemy się gdzie Silo Silo. Na dnie jedyne zagłębienie, pod wysoką piramidą, dominującą ekskluzywnie cały pejzaż. Jadę na brzeg. Girlandy liści zeschłych rzucone w morze i za pomocą wysokich drzew mangrowowych, jak w Nawapu – jakby ramiona wyciągnięte na odświętne przyjęcie gości. – Nowy dom a raczej dubu. Wychudzone i wysmalone postacie. Tanuwagana. Na lewo 2. dubu, gdzie króluje istna mumia, Kanikania. Spotykam Sixpence'a, którego namawiam na urządzenie Damorei. Kobiety z piórami na głowach. 1. świnia przychodzi. Kobiety wychodzą na jej spotkanie i tańczą. Cieszy mnie ten widok i dźwięk bębnow i dekoracje. – Po lunchu i po drzemce (na Dubie), idę na brzeg. Damorea. Notuję śpiew i figury. Dziewczyny nie pomalowane. Sixpence też śpiewa i inni chłopcy – co nie jest en regle [w porządku]. Ściemnia się. Jadę na dobę, gdzie postanawiam spędzić noc. Noc b. kiepska.

W Niedzielę 13.XII. budzę się, jak z krzyża zdjęty. – Zupełnie nie funkcjonuję. Deszcz, pochmurno – łaźnia rzymska a la lettre [dokładnie]. Jadę na ląd; idę na spacer wśród sagowych palm: przedpotopowy las i ruiny świątyni egipskiej; olbrzymie – a raczej kolosowate, pokryte geometryczną łuską pnie, omszałe, objęte splotem różnorodnych powojów i pnączy. Krótkie, krępe ramiona liści – siła, tępość, potworność geometryczna: Sago swamp [bagnó] daje wrażenie nieporównywalne z niczem. Przytem zawsze połączone z szalonym, duszącym upałem. – Idę do paru domków w dżungli; zwiędzam wewnątrz domu opuszczonego. – Wracam; zaczynam czytać Conrada. Rozmowa z Tiabubem i Sixpencem – chwili-

lowe podniecenie. Potem opanowuje mnie znowuż marazm – ledwo mam siłę dokończyć nowelkę Conrada. Oczywiście chandra potworna, szara jak niebo wokół, kłębi się na kraju psychicznego horyzontu. Odrywam oczy od książki i ledwo wierzę, że oto jestem wśród dzikusów neolitycznych, i że siedzę sobie tu spokojnie podczas kiedy tam dzieją się rzeczy straszne. – Chwilami mam impuls modlenia się za Matkę. Bierność z poczuciem, że gdzieś daleko poza zasięgiem wszelkich możliwości działania dzieją się rzeczy potworne jest nie do zniesienia. Potworna, straszna, nieubłagana konieczność przybiera formy czegoś osobowego. Nieuleczalny optymizm człowieka nadaje jej strony dobra łagodności. Fluktuacje subiektywne – z Leitmotywem wiecznie zwycięskiej nadziei – obiektywizują się na bóstwo dobre i sprawiedliwe, wyjątkowo czułe na moralną stronę postępowania subiekt. Sumienie – specyficzna funkcja przypisująca nam samym wszystko złe, które miało miejsce – staje się głosem Boga. Zaprawdę dużo jest w mojej teorii wiary. Apologeci ignorowali tę stronę walcząc, wyłącznie z najniebezpieczniejszym wrogiem wiary – z czystym racjonalizmem. Wrogowie religii uciekali się do czysto intelektualnej krytyki, do wykazania absurdu w wierze, ponieważ to jest jedyną drogą podkopania wiary. Rozważanie emocjonalnej podstawy wiary ani nie niszczy religii, ani jej nie dodaje żadnej wartości. Jest ono wynikiem wyłącznie dążenia do ujęcia psychologii wiary w jej istocie. –

W Niedzielę po południu nic nie mogłem robić. Wcześniej dość wróciłem z Jamesem (Tetete), który mi pomógł wyszukać duży dom w Kalokalo. Nie mogę powiedzieć, ażeby chwile spędzone w tym domu były miłe. Zaduch, dym, hałas ludzi, psów i świń – febra, którą musiałem mieć tymi dniami, wszystko to peszyło mnie mocno. 3 noce, które tam przespaliśmy nie były dobre; czułem się przez cały czas przemęczony.

W Poniedziałek rano, po wypiciu kakao na brzegu, jadę łódką z Velavim. Nie pamiętam bardzo, co robię. Rano w ogóle mniej animacji. Zabawa rozpoczyna się po południu. Zawsze parę korowodów ze świniami. – W Poniedzi[iałek] po południu – Damorea?

We Wtorek – ?

W Środę ostateczne przeniesienie świń do Tanawagany. Awantura – prawie że bitka o rozwalanie kokosowej palmy. Taniec Rana. Silne wrażenie, kiedy gromada naprawdę dziko wyglądających drani wpada pośród tłum wyraźnie przerażony i zdenerwowany. Nie dziwię się, że dawniej takie rzeczy prowadziły do bitew. Przedtem rozmawiam statecznie z Carpenterem, który mi daje szereg cennych objaśnień. – W ogóle te parę dni, które by mogły być szalenie cenne – w samej rzeczy mógłbym być zdobyć mnóstwo ważnych rzeczy – były mocno zepsute brakiem sił. W dzień bywało tak gorąco, że wiałem się na platformie, na której leżałem. Większą część Poniedziałku przesiedziałem na tej platformie nic prawie nie robiąc.

We Wtorek po południu przeszedłem z Sixpence'em do jego hamletu [wioski], gdzie zrobiłem 3 ostatnie zdjęcia tego dnia. Potem wracam na plażę i spotykam korowód, idący wprost na mnie z włócznią, z Tanawaganą na przodzie: ofiarowują mi świnie. Staram się ją zwrócić, ale to niemożliwe. Tego dnia (we Wtorek) zaczynają tańczyć Damoreę; ale jestem taki speszony świnia i tak potwornie przemęczony, że wracam na Dubę i idę spać. Słysząc wściekle ryki. Tiububu



mówi, że być może bushmani przyszli i rozwalają chałupy i niszczą palmy. Szereg krzyków jakby: Hurra! i odpowiedź Wipp! Na drugi dzień obserwowałem to samo i przekonałem się, że było to obalanie jednego z mangrowych słupów, stojących na mieliźnie, za pomocą długiego drąga z platformy bori, ze świnią przyczepioną do tegoż.

Wtorek rano przyjechałem na lewo, za wrakiem i widziałem sago gotowane i mieszane rodzajem wiosła. We Środę rano przynoszą kuku [tytoń] tanuwaganie, który mnie naciąga na więcej, prowadząc mnie do Kanikaniego. We Środę po południu najintensywniejszy dzień: punkt kulminacyjny Raua. Przez cały ten czas, niestety, czuję się raczej podle. Febra czy wściekły upał niszczą mnie.

We Czwartek rano jedziemy do Dahuni. Za Silo Silo otwarta zatoka; po lewej ręce (od Z.) olbrzymia skała zawieszona na końcu wąskiego pasa: Gadogadoga. Parę statków z Mailu – im b=ej się posuwamy na Z., tem więcej Crabclaw [kleszcze krąba] żagli się pokazuje. Objężdżamy jeszcze jedną, płytką zatokę, przesuujemy się tuż koło skały i wjeżdżamy w Zatokę Bona Bona. Wyspa Bona Bona Rua przypomina stoki Karpat o wielu ramionach. – Obidową za N. Targiem. Tu i ówdzie polany – szmaty ziemi źle nawodnionej, porośnięte trawą – ale tak dziwnie przypominają hale gdzieś na zboczach Kopieńca, koło starej drogi do Morskiego Oka... Na prawo otwierają się wrota do Mullins Harbour, Gubanoga: od północy płaskie brzegi i [?] pas zieloności gęstej, nieprzenikliwej ciągnie się tuż nad mlecznym błękitem morza; tu i ówdzie palmy, jakby jeszcze linje, geometrycznie równoległe, wyrte ostrem, precyzyjnym narzędziem na pasie zielonym. Na prawo góry pokryte bogatą zielenią i zatoki obszerne. Wjeżdżamy z Zat. Dahuni. Zmęczenie szalone. Z rozkoszą oglądam obrazki z Graphica z przed 3 lat; kładę się spać. Po południu spacer. W 2 dubu siedzą goście: z Mailu i z Borowai i jedzą taro z dużych drewnianych talerzy. Typy Borowojów nadzwyczajne: zupełnie Australskie mordy, włosy gładkie, nosy jak u małp, wyrazy dzikiego przestrachu. – Wciąż jeszcze nie w stanie do roboty, wracam, i jadę łódką z Iguą, Boo i Utatą. Spotykamy Mailu Lugumi, do którego przyczepiam się na chwilę. Cudowny widok żółtego żagla na tle ciemniejszego błękitu; w oddali gubią się brzegi niskie Mullins Harbour. Wracamy, ciężka praca wiosła. Wieczorem kupuję parę przedmiotów – początek „muzeum nowego typu”; przedmioty gospodarstwa domowego.

Na 2. dzień rano (Piątek 18.XII) dzień jasny, pogodny – widok na Mullins Harbour niezbyt czysty, gdyż tam burza. Orangerie Bay doskonale widoczna. Trudności z boy'ami, którzy zaczynają wierzczać. Jedziemy wzdłuż płaskiego, zielonego brzegu – nad równiną wznosi się szereg wzgórz – we mgłę i drzewach. Gadaję; plantacja jakby wymarła, ponura. Lunch z Meredittem. Rozmowa o Grahamach; o sezonach w tej okolicy N. Gwinei. – Dingą do wioski; wioska marna; prawie nikogo nie ma; wszystkie domy zbudowane à la Suau, chociaż niektóre specjalnie nędzne. Jedziemy; z za gór wysuwa się biała mgła; jakby ktoś z tamtej strony gwałtownie przedmuchiwał wiatr. Widocznie monsoon z tamtej strony silny zpytyka tu wiatr Płdn. który go przecina. Widok bajeczny szeregu wzgórz w aureoli białej mgły, tajemniczo wysuwającej się z głębokich kotlin. Baibara. Starcie z Arisą; wściekłość. Idę krętą ścieżką wśród gęstwy powojów, oplatających młody zagajnik palmowy. – Cattowa i Catt; gadatliwy; przeglądam gazety ilustrowane; czuję, że się od niego wiele nie

nauczę o rolnictwie krajowców. Idziemy na spacer, na plażę; on rozplywa się nad plantacją, ja podziwiam. Pokazuje mi swój stary dom i opowiada o historii z wężem – wielu ludziom to pokazywał i opowiadał już? Na brzegu dyskusja o misjonarzach – lekie starcie; tracę do niego sympatię. Wracamy. Kolacja; dyskusja z Cattową, kt[óra] b. sympatyczna. Idę do łóżka b. późno. Śpię marnie.

Rano niezbyt tego. Idziemy piechotą. Oglądam ananasy. – Plażę idziemy; zajeżdża Daba. Jedziemy łódką do cmentarza. Platformy i tłumoki z kośćcami. Czaszki zbieleły na skałach. Jedna z przyczepionym nosem. B. nastrojowe. Rozpytuje się o zwyczaje pogrzebowe. Tymczasem chłopcy wrzeszczą i trąbią. Jestem wściekły na nich. Pożegnanie z Catterem. – Brzeg skalisty, pokryty [?] zielonością. Ujście laguny, w której cmentarz, objęte dwoma skałami; w środku sterczy trzecia. Dalej pagórki się wznoszą wyżej; zieloność staje się niezmiernie silna. Niestety dzień b. mglisty; nie widać dalszych planów. Dojeżdżamy do P=t Glasgow, który przedstawia się bajecznie, jako głęboki fiord objęty 2 sfinxowatymi pilonami, otoczony wysokimi pagórkami, z cieniami olbrzymich gór Main Range'u z tyłu. Schodzę na dół – czuję się od razu kiepskawo. Wracam. Stop koło Euraoro. Piaszczysta i skalista wysepka z tuzinem dość marnych domków. – Dojeżdżamy do Mailu. Nagle odczuwam pustkę i znak zapytania nad przyszłością. Dopiero ko robilem plany co do działalności w Mailu: opisanie i sfotografowanie ekonomicznych czynności, w ogrodzie i w domu. Próba skolekcjonowania wszystkich przedmiotów techniki etc. – W Mailu czekam na launch i dawdleje. Nie czuję się tak b. źle; widocznie przyzwyczaiłem się już trochę do kołysania. Robię dziennik. Koło 6=tej idę do wioski. Rozdaję tytoń i obstalowuję model Orou. – Aha; domek misyjny urządzony schludnie na moje przyjęcie, uderza mnie sympatycznie i mityguje we wściekłości na Savil'ów. Koło 7=ej wracam do domu, kiedy dowiaduję się, że przyjechała Elevala. Jadę drogą. Rozmowa z Murray'em i Grimshawem. Kolacja z H.E. i rozmowa. Jestem znowu zupełnie na tej samej stopie z nimi co poprzednio; uprzejma i swobodna rozmowność, przy tem ja raczej nadaję kolor rozmowie, bez poczucia natręctwa. – Czytam 4 listy od Mayowej (uprzejmy i przyjacielski) od [?] pomyślny co do 200 fu[ntów], krótki, ale zdaje się życzliwy; i 2 listy od n. 1. dość suchy i krótki, speszony moim milczeniem. 2. serdeczny, w odpowiedzi na listy z Cairns i P=t [Moresby] i fotografie. Jedyne zetknięcie ze światem mi przyjaznym. – Choć naprawdę muszę przyznać, że ludzie, kt. tu spotykam są w ogóle b. życzliwi i dają poczucie przyjacielskości. Tak, że mam poczucie, jakbym był wśród przyjaciół. Nie czuję się b. osamotniony. Nawet ludzie spotkani „po drodze” Rich'owie, Catt'owie, Meredith są „ludźmi”, są „znajomymi”. W Samarai Shaw'ie, Higginsonowie, Ramsayowie, Stanley odnoszą się do mnie b. życzliwie. – Wieczór, niestety oddaję się lubieżnemu nastrojowi. Iguą jedzie na statek. Dziś rano ze łzami w głosie mówi mi o śmierci swojego „uncle” Tanmaku – rozplakuje się zupełnie. – Dziś siedzę cały dzień w domu; piśsze dziennik; opatruję palec.

Przygotowuję do fotografii – to było w Niedzielę 20. W południe wziętem b. byczą kąpiel morską, z pływaniem i kąpiel słoneczną. Czuję się silny, zdrow i swobodny. Pogoda i względny chłód Mailu przyczyniają się też do podniesienia ducha. Około 5=tej idę do wioski i spotykam Velaviego. Obstalowuję kamień do robienia isaga i model łódki za 10

sztyków tabaki. Wracam – palec boli mnie po obiedzie. W domu siedzę i czytam Gautiera. Velavi, Boo i Utata robią mój „dwór”. Noc b. kiepsko, budzę się z bólem głowy – b. silny ból palca podczas nocy; widocznie zakaziłem znowuż kąpiąc się. –

Wczoraj, Poniedz[ialek] 21.XII. cały dzień w domu. Rano i po południu Puana; rozmawiamy o rybołówstwie. Chwilami – popołudniu – chandra gwałtowna; samotność ciąży na mnie. Zabawiam się nowelkami Gautiera, ale czuję ich nicność. Jak niewidzialna zmora ciąży na mnie wojna europejska i myśl o Matce. Chwilami tęsknię za Toską, często patrzę na jej photo – a i sam nie wierzę, że ta cudna kobieta... – Praca idzie mi dość tepo.

22.XII. Wtorek. Rano przychodzi Puana i proponuje jazdę do Kurere<sup>56</sup>. Znow siedzę na tratwie i ślizgam się bo [pow. być: po] przestrzeni, wśród cudownego widowiska otaczających wysp i gór. Koło 4=tej dojeżdżamy. Instalacja w domku misjonarza. Jedną nogę mam bez buta, kuleję. – Idę do wioski, tu i ówdzie znajomy, rozmawiam. Wychodzimy na wioskę – z daleka, na lewo; brzegiem idzie korowód taneczny. Słychać tylko dość skomplikowany rytm bębna i śpiew. Bliżej widzę korowód. Na przedzie dwóch ludzi niesie drzewka mangowe; z nich spływają festony jakichś liści, które z tyłu znowuż dwóch ludzi niesie. Za kimś idą, mocno wysmukli i udekorowani dwaj „naczelnicy”. Potem gromada ludzi z bębnami i bez, śpiewająca i tańcząca. Śpiew dość melodyjny. Taniec: przeskakiwanie z jednej nogi na drugą z podnoszeniem kolan wysoko. Chwilami tańczą zgięci w pół i tyłem do mangrów, otaczając je – jakby w adoracji. – Przy wejściu do wioski spotykają ich kobiety udekorowane, z djademami piór białego cacatoo [kakadu] na głowie, tańczą tak samo, jak przy przynoszeniu świń, tzn. też przeskakując z jednej nogi na drugą, choć, zdaje się, nie podnoszą kolan tak wysoko jak mężczyźni].

Wszystko odbywa się poważnie – znać, że jest to uroczystość, ale bez ezoteryi. Większość „społeczeństwa” zresztą stanowi aktorów. – Potem „przyjęcie” przez kobiety rozpościerają duże eby [maty z pandanusa]; wszyscy siadają – głównie aktorowie w 1. rzędzie i śpiewają jedząc betel. Śpiew znow melodyjny; mam wrażenie, że melodia wszystkich zakłęć jest tasama. Po jedzeniu orzechów betelowych, odbywa się rąbanie drzewek mangowych, które potem, owinięte w ebę stanowią charm [przynętę] na świnię. – Potem wracam do domku misjonarza i mam konferencję z dzikimi. – Wieczór – b. zmęczony – śpię kiepsko, ból zębów. We wsi tańczą.

Następnego dnia (Środa 23.) rano konferencja; koło południa posyłam policemana do Cowleya – po południu, koło 5=tej zaczynają się tańce. Przyglądam się. Potem idę na kolację; wieczór znow tańce (Bara tylko). Idę spać.

We Czwartek, rano jedziemy do Magubo point – wiatru prawie że niema, pomstujemy. – Campbell Covley dość przyzwoicie ubrany, dość energiczny. Robi na mnie dość sympatyczne wrażenie. Lunch. Potem gadamy – czytam Dumasa. Wieczór wilja – siedzę sam nad morzem i myślę o domu, o matce, o ostatniej wili. Myśli dość potwornawe. Potem wieczór gadamy. C.C. opowiada o Afryce; o polowaniu na słonie – jest on synem Sir Alfreda C., którego pamiętam dobrze z Brisbane. Dość mi się podoba, typowy Australczyk: otwarty, ekspansywny (mówi ze mną o zamiarach matrymonjalnych) – brutalny. Razem sobaczymy mocno Saville'a.

Piątek (1. święto) i Sobotę spędzam zaczytując się na śmierć Dumasem. W Sobotę popoł. przyjeżdża Puana, widzę Dimdima. Potem przy świetle księżycy wracamy do Mailu.

W Niedzielę (27.) Poniedz[ialek] 28. zaczytuję się nadal Dumasem. Wtorek 29, Środa 30, Czwartek 31. Jestem chory. Gorączka. Ataki wściekłego bólu zębów.

Piątek 16.I.14. Od 1. (Piątek) aż do 7. (Czwartek) pracuję niezłe. Przychodzi do mnie: Pikana<sup>57</sup>, Puana i Dagaea i gadam z nimi. Puana okazuje się dość inteligentny i b=ej otwarty. Razem z Paparim dają mi szereg ciekawych informacji i niewątpliwie czuję, że pogłębiam moją wiedzę na punkcie Cora, tzn. tabu; na punkcie problemów pokrewieństwa itd. Któregoś to dnia robię wycieczkę z Puaną, Boo i jakimś 3=cim jeszcze na szczyt pagórka, przy czym faktycznie zostaję wciągnięty na górę. Rano, budząc się (budziłem się dość późno, koło 9=tej) ryczę o kakao. Zazwyczaj pod domem siedzi już Puana, który potem włazi i gada ze mną. Po południu raz czy dwa przyszedł Pikana. Wioska pełna, prawie wszyscy na miejscu. Co wieczór tańce, teraz już w pełnym stroju, z piórami, z wymalowaniem etc. Upał szalony – chwilami czuję się fatalnie.

Koło Wtorku 5=tęgo wiatr zmienia się na Płd. – znowuż nastrój passatu, znacznie chłodniej, pogoda, niebo jasne, morze błękitne i mgła lekka na horyzoncie. Od razu człowiek czuje się rzeświejszy. – Plan domku misyjnego, w którym mieszkam.

[plan domu]

Z początku moje łóżko stało na werandzie (zamkniętej) A, koło okna A'. Potem, jak wiatr się przemienił, na Płn. Zach., przeniosłem łóżko do B. (tam gdzie litera stoi), ażeby mieć przeciąg. Siedzę koło okna, w B' i patrzę na palmy, agawy (duże kwiaty tuż pod oknem); papaye i dziwne drzewko, kwitnące fioletowo, z zapachem jakby wysubtelniejszego benzoezu i kwiatami jakby ulepionymi z wosku. Poprzez drzewa widzę skrawek morza. – Po lunchu i wieczorami czytywałem Pathfindera Coopera<sup>58</sup>, kt[óry] mi robił miłe wrażenie, ale mnie nie przepoił tą wściekłą poezją, którą odnajdywałem w nim w młodości, czytając w wydaniu polskim. Niestety z wiatrem wschodnim wyjechali absolutnie wszyscy ludzie z Mailu. Chciałem z nimi pojechać, targowałem się, nie przyjęli mojej ceny i to mnie zaprowadziło do pasy – przeciw obu policjantom i większości mieszkańców; a także zniechęciło mnie to kompletnie. Poza tem nie było absolutnie nikogo. Zacząłem czytać we Czwartek Bragellone'a<sup>59</sup> i czytałem go bez przerwy literalnie, aż do Środy, czy Wtorku wieczór. Dumas ma jednak urok. Zaczął mnie brać pod koniec, chociaż niewątpliwie posiada on olbrzymie braki. itak np. kontrefekt Bragellone'a polega na zamianie królów. Przy czem restytucja dawnego przeprowadzona jest haniebnie. Aramis wychodzi jak ostatnia dupa bez żadnego jądra i sensu. – Czytałem zaraz po wstaniu; nie przerywałem jedząc, czytałem do północy. Tylko o zachodzie zwlekałem się z tapczanu i siedłem na krótki spacer nad brzeg morza. W głowie mi szumiało, miałem [?] mózg i oczy – a pomimo to czytałem, czytałem ciągle. Zupełne urżnięcie się na umór. Postanowiłem, po skończeniu tego świństwa za żadną cenę nie wziąć już więcej książki do ręki w N.G. –

We Wtorek 13 przerwałem – a raczej skończyłem. We Środę spałem długo. Potem poszedłem do wioski rano i zrobiłem parę fotografii. Wróciłem nie znalazłszy tam absolutnie nikogo, z którym bym mógł pracować, i zacząłem czytać li-

sty M. Jeszcze przed epoką intoksykacji Dumasem, zacząłem czytać i segregować listy *n*. Teraz czytam je dalej. Chwilami chciałbym napisać szkic mojego życia. Całe epoki wydają mi się już tak obce. Bursa<sup>60</sup>, Ślebodziński – Głównyński i Górski<sup>61</sup>, Bukowina z Wasserbergiem<sup>62</sup> – Chwistek<sup>63</sup> i przygotowanie do doktoratu – te rzeczy wydają mi się prawie że nie połączone ze mną.

We Środę miałem gorączkę i we Czwartek także – dość słabą 36.9 st. ale zawsze nie byłem żwawy. We Wtorek i Środę wieczór brałem chine we Środę rano także arsenik. Miałem dość przykre noce, trochę bezsenne z tym narkotycznym bólem głowy po chinie. Wczoraj (Czwartek) zacząłem znowu pisać notatki. Na razie poprzestałem na pracy z Iguą. Popołudniu fenilletowałem Shakespeara i miałem ból głowy. Rano przeglądałem Normana Angell'a i Rennana. Po południu zdrzemnąłem się; o 5-tej jak z krzyża zdjęty, wlokę się do wioski. Dekorują dom na Madune – obwieszają bananami naokoło. Wracam po ciemku i znowu straszę małego chłopca, którego nazywam Monkey; dziwny od[gl]os wydaje w strachu; prowadzę go kawał drogi, nęcąc tytoniem, potem nagle weszłem w krzaki, gdzie on zaczyna piszczyć. Wieczór jestem całkiem caput; nic nie czytam. Mam chwile szalonej tęsknoty za muzyką i słyszę chwilami wcale nieźle. Wczoraj np. 9-tą symfonię. – Kocham się wciąż i tęsknię za *t*. Jej ciało jest dla mnie czemś idealnie pięknym i świętym – zdają sobie sprawę jednak, że psychicznie nic mnie z nią nie wiązało, jak np. z *ż*. Ale w *ż* nie kocham się już erotycznie. Gdybym mógł wybierać którąś z nich na towarzyszkę w chwili obecnej, czysto impulsywnie, bez wahania wybrałbym *t*. Dużo przyczyniają się bajeczne fotografie, które mam ze sobą.

Sobota. 17.I.14.[pow. być 15]

Po bezsennej nocy i proszku bromu, oraz uspieniu się herbatą – czuję się wcale nieźle; choć serce nietego. Zobaczmy, jak będzie dalej! Wczoraj rano pracuję z Iguą i Velavim o po-

karmie natiwów – Velavi b. chaotyczny. Potem atletyczne zapasy z Velavim. Potem lunch (papaya) – potem czytam Rivera i przerzucam Hill Vachella. Chmurzy się; rano chłopcy wotają Sail O! Wakefield przyjeżdża i cała flotylla OROU<sup>64</sup>ów. Po poł[udniu], koło 3=cej mierzę gorączkę 36.9, prawie 37 st. Mam to już od paru dni; przy tem ból głowy i stumanienie. Czytanie Rivera, wogóle teorii etnologicznej jest nieocenione: daje mi zupełnie inny impuls do pracy i pozwala wykorzystać informacje zupełnie inaczej. Ciągłe mnie travailluje [travail – dręczy] myśl o możliwości jakiejś rządowej posady etnologicznej w N.G. Podejrzewam Haddona, że proteguje Layarda<sup>65</sup> na to miejsce. – Koło 4-tej – zdemoralizowany gorączką, bólem głowy i deszczem, sin embargo idę do wioski. Góry ciemnoszafirowe; chmury, kumulusy śnieżno białe wśród ciemnych ołowianych cieni [?]. Morze szkli się szmaragdowo pośród tych ponurych barw. Duszo, ciężko. Lugu my, pokryta domkami, stoję przy Ogobadzie. Odpływ b. daleki. Mnóstwo ludzi zbiera frutti di mare. Siedzę i patrzę jak kobiety robią rami<sup>66</sup>s i pletą koszyki. – Potem deszcz się rozlewa. Siedzę na werandach; naprzód u Vavine, potem oglądam werandę naładowaną małymi dziewczynkami; „pali się w piecu” i gotują strawę. Potem idę ulicą i, wracając, siadam na werandzie. – Jestem zmęczony. Ściemnia się. Domy w przezroczystym, ponurym cieniu; środkiem ulicy płyną strumyczki wody. Tęsknota za muzyką, za Tristanem; [?]. Wracam; w domu czytam Rivera, potem Hill. Długo nie mogę zasnąć. Myśli erotyczne o E. Eat.; o Zosi Ziel-in, o Jadw. Malesz.). Ale właściwie czuję, że instynkty monogamiczne coraz silniejsze i myśl o jednej kobiecie. Tęsknię za *t* – za nikim innym. Rozumując eliminuję *t* – jest ona jedynie chwilowym substytutem jedynej. Ale lubieżność w ogóle staje mi się czemś obcym. Przypominam tylko z dreszczem noc 10.IX. na Olczy, wspomn[ienia] z Windsoru, z Meck=g St. – myślę o małym pokoiku z ukręconym bluszczem na Chalk Farm. W niej kocham się jeszcze niewątpliwie. – Dziś rano zrobiłem gówno – tego mi widać potrzeba.

Wszystkie fotografie wykonane przez Bronisława Malinowskiego

#### PRZYPISY

<sup>1</sup> Motu, język plemienia Motu (wokół Portu Moresby na Nowej Gwinei), *lingua franca* południowych Massimów. Malinowski używał gramatyki i słownika W.G. Lawesa (1888), jedyne wówczas opracowania dotyczącego tego języka.

<sup>2</sup> Henry Balfour, antropolog brytyjski i dyrektor Pitt-Rivers Museum w Oxfordzie.

<sup>3</sup> Henry Rider Haggard (1856-1925), pisarz angielski, twórca neoromantycznych powieści przygodowych, np. *Kopalnie króla Salomona*, *Pierścień Królowej Saby*. Postać Haggarda posłużyła Malinowskiemu do stworzenia następującego porównania: „Rivers był Riderem Haggardem antropologii, ja będę jej Conradem”.

<sup>4</sup> „Merrie England” rządowy jacht parowy, którym w 1904 roku wyruszyła ekspedycja karna na wyspę Goaribari dla pomszczenia kanibalistycznego morderstwa dokonanego tam w 1901 roku na dwóch misjonarzach i dziesięciu wyspiarzach Kiwai.

<sup>5</sup> H.W. Champion był sekretarzem rządu Papui.

<sup>6</sup> Sędzia J.H.P. Murray był „lieutenantem gubernorem” czyli gubernatorem Brytyjskiej Nowej Gwinei.

<sup>7</sup> Miles Stamford Cater Smith w 1907 r. był dyrektorem rolnictwa i kopalni oraz pełnomocnikiem rządowym do spraw ziemi i badań w Port Moresby, w 1908 został administratorem Papui. W latach 1910-11 prowadził ekspedycję badawczą między Purari River a systemem Fly-Strickland River, za co został odznaczony medalem Królewskiego Towarzystwa Geograficznego.

<sup>8</sup> Ahuia Ova, lokalny informator wykształcony etnologicznie przez Seligmana, później prowadził swe własne badania. Patrz F.E. Williams, *The Reminiscences of Ahuia Ova*, „Journal of the Royal Anthropological Institute” LXIX, 1939, s. 11-44; C.S. Belshaw, *The Last Years of Ahuia Ova*, „Man” 1951, nr 230.

<sup>9</sup> Dubu (Mailu) dom klanu, wyraz ten może też oznaczać klan lub podklan.

<sup>10</sup> A.E. Pratt był badaczem biorącym udział w ekspedycji Smitha.

<sup>11</sup> Henry Ryan, zastępca lokalnego sędziego, w 1913 roku badał tereny, które zamierzał eksplorować Smith.

<sup>12</sup> Leslie Bell, inspektor do spraw krajowców i jeden z czterech europejskich członków ekspedycji Smitha.

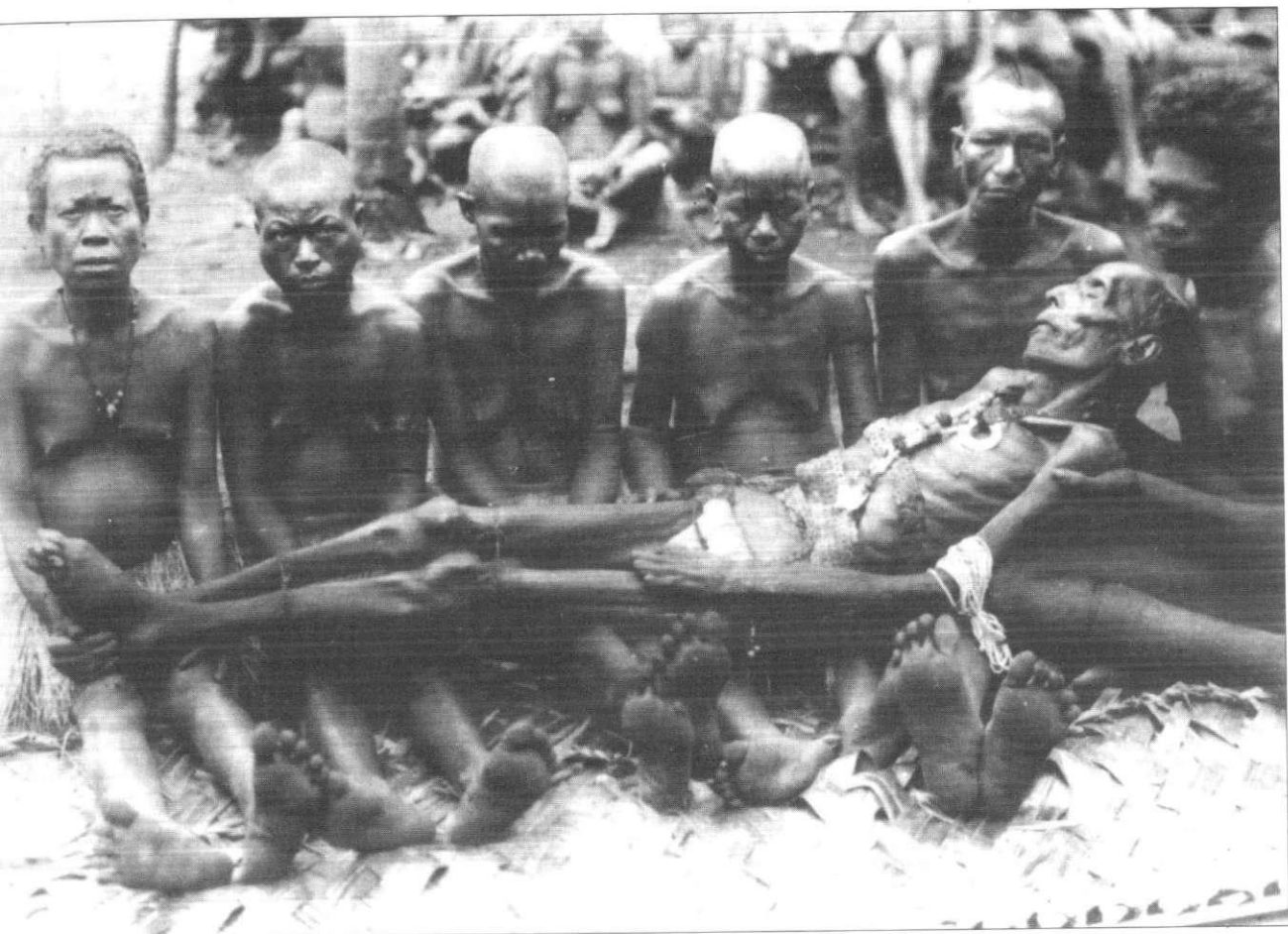
<sup>13</sup> Sędzia C.E. Herbert pełniący obowiązki administratora Terytorium Papui w czasie ekspedycji Smitha

<sup>14</sup> Iduhu (Motu): plemię lub rodzina.

<sup>15</sup> Arsenik był używany jako środek stymulujący, najczęściej doustnie, stosowanie go drogą iniekcji, jak to robił Malinowski, było raczej eksperymentalne.

<sup>16</sup> Chinina oprócz swojego podstawowego zastosowania przeciwalergicznego i przeciwgorączkowego, bywała stosowana jako tonikum – wzmacniająco.

<sup>17</sup> Iguą był motuańskim służącym i kucharzem z Elevala, który pojechał z Malinowskim na Mailu i był jego tłumaczem.



<sup>18</sup> Prawdopodobnie chodzi o Roberta Huntera, który w latach 1880-tych towarzyszył wyprawie Armit-Dentona.

<sup>19</sup> W. Thackeray, *Targowisko próżności*, (oryg. 1848).

<sup>20</sup> J. Conrad, *Przygoda*, (oryg. 1903).

<sup>21</sup> Laloki to wieś pod Port Moresby.

<sup>22</sup> Jules Barbey d'Aureville (1808-1889), pisarz francuski.

<sup>23</sup> W oryginale dzienników Malinowski używa inicjałów n, t, ż w kółeczkach na oznaczenie swoich przyjaciółek: Annie Branton, Otoli Retingerowej (Tośki) i Żeni Zielińskiej. Patrz poprzednie odcinki.

<sup>24</sup> Chodzi zapewne o spotkania londyńskiego Kółka Polskiego.

<sup>25</sup> Wspomnienie podróży do Australii przez Kanał Sueski i Morze Czerwone w lecie 1914 r.

<sup>26</sup> Atlee Hunt, C.M.G., sekretarz Departamentu Spraw Wewnętrznych i Terytoriów Wspólnoty Australijskiej. Michael Young twierdzi, że Atlee Hunt odegrał niezwykle ważną rolę w umożliwieniu i ułatwieniu badań terenowych Malinowskiego. „Pisał niezliczone listy wprowadzające dla Malinowskiego, naciskał na swojego ministra, aby ten wspomógł Malinowskiego finansowo, gdy ten miał kłopoty z transferem pieniędzy z Anglii, gdzie tylko mógł, organizował bezpłatne przejazdy, bronił go przed plotkami, że jest niegodny zaufania i że ma sympatie proniemieckie, ochraniał go przed podejrzliwym i wrogim Sir Hubertem Murray'em (gubernatorem Papui), wygładzał trudności z komendantami wojskowymi i ogólnie złagodził pewne przykre restrykcje, które ograniczały jego ruchy. Hunt nawet załatwiał dla Malinowskiego zakup materiałów fotograficznych po obniżonych cenach, darmowe lub bardzo nisko płatne wykonanie odbitek, wypożyczenie z Gubernatorstwa aparatu fotograficznego (3A Graflex wyposażony w anastygmat Zeiss Kodak F.6.5 lens) i namiotu – słynnego namiotu, który miał się stać symbolem stylu badań terenowych tego etnografa. Atlee Hunt robił to wszystko nie tylko dlatego, że został zobligowany przez Haddona i Baldwinę Spencera, innych wpływowych protektorów Malinowskiego, lecz że posiadał oświeconą wiarę w praktyczną wartość badań antropologicznych i niezachwianą wiarę w Malinowskiego umiejętności do ich przeprowadzenia. Żadna inna postać publiczna nie okazała takiego poparcia dla Malinowskiego. Gdyby to zależało od gubernatora Murraya, Malinowskiemu nie pozwolono by na powrót do Papui w 1915 roku, chyba że byłby zatrudniony przez rząd Papui. Murraya zirykowało, że grant (250 funtów na dwa lata) Hunt zabezpieczył Malinowskiemu z budżetu swej administracji; gdyby Murray płacił za badania Malinowskiego, chciałby mieć coś do powiedzenia w kwestii tego, gdzie jedzie i co będzie robić. Wstawiennictwo Hunta w ministerstwie pozwoliło stawić czoła Murrayowi i zapewnić kontynuację badań Malinowskiemu. Chociaż Malinowski był wystarczająco wdzięczny Huntowi za jego opiekę, nie wiedział do jakiego stopnia był przez niego chroniony – często w konsekwencji jego własnych gaf.” *Malinowski Among the Magi*, Routledge, London and New York 1988

<sup>27</sup> Jane Ellen Harrison, angielska archeolog, autorka dzieła pt. *Prolegomena to the Study of Greek Religion, Ancient Art and Ritual*, a także innych wybitnych prac.

<sup>28</sup> W.J.V. Saville, misjonarz Londyńskiego Towarzystwa Misyjnego pracujący wówczas na Mailu. Jego praca *A Grammar of the Mailu Language, Papua*, została opublikowana w „Journal of the Royal Anthropological Institute” w 1912 roku.

<sup>29</sup> Ferdynand Tabeau (1858-1919), zakopiański aptekarz, działacz społeczny, jeden z założycieli TOPR. W czasie I wojny świat. cały swój majątek przekazał na potrzeby Legionów Polskich. Malinowski był częstym gościem jego apteki, która pełniła także funkcje kawiarni i salonu.

<sup>30</sup> Nie wiem na razie, kim była panna Nussbaum, ale natrafiałam na jej trop w liście do Malinowskiego wysłanym przez Marię Czaplicką w 1919 r. z Oxfordu: „(...) Pani Bronisławie, ma Pan wiele serdecznych uczuć dla siebie u Haliny Nussbaumówny. Pisała mi o Panu dużo”. Korespondencja B. Malinowskiego w Archiwum L.S.E. w Londynie.

<sup>31</sup> Papari był naczelnikiem podklanu Banagadubu, potrafił przepowiadać pogodę; Malinowski uważał go za przyjaciela i dżentelmena.

<sup>32</sup> Victor Cherbuliez (1829-1899), autor powieści *L'aventure de Ladslaus Bolski*.

<sup>33</sup> Suau, wyspa na wschód od Mailu.

<sup>34</sup> Patrz przypisy do poprzedniego odcinka.

<sup>35</sup> Chodzi zapewne o list Stasia Witkiewicza pisany w Hotelu Metrople, w Sydney, 2.IX.1914: „Kochany Broniu: (...) O kwestii naszego stosunku nie piszę, bo (dodać nic nie mogę) na razie nie mam nic do powiedzenia. W Papui będziesz miał wiele czasu na rozmyślenia i może wiele rzeczy zrozumiesz, jak się na nie z daleka i z samotności popa-

trzysz. Jeśli nie będzie za późno i jeśli mnie będziesz lubił naprawdę (czego teraz dopatrzeć się nie mogłem), może kiedyś na Olczy będziemy inaczej o tym mówić. Chciałbym bardzo, abyś się zmienił, zanim Cię życie nauczy różnych rzeczy w sposób bardziej okrutny niż dotąd./ Za pewne rzeczy mam dla Ciebie głęboką wdzięczność. Jeśli nie było skutku, to dlatego, że jestem człowiekiem kompletnie złamanym, którego jedynie śmierć uleczyć może. Pół roku minęło i wszystko jest tak, jak było, a nawet gorzej. Oby moja śmierć nie była głupim przypadkiem i żebym zginął pożytecznie. Tej jednej rzeczy można mi życzyć./ Wierzę mocno, że Ci się uda wyprawa i że wrócisz cało./ Ściskam dłoń Twoją./Stas (...).” S.I. Witkiewicz, *Listy do Bronisława Malinowskiego*, PIW: Warszawa 1981

<sup>36</sup> Derebai, wioska w głębi łądu.

<sup>37</sup> *Notes and Queries on Anthropology*, wyd. 4, Londyn 1912

<sup>38</sup> Borebo, wieś nad płytką zatoką na zachód od Millport Harbour.

<sup>39</sup> Patrz przypis w poprzednim odcinku.

<sup>40</sup> *Cat's cradle* to dziecięca zabawa w przekładanie i zdejmowanie sznurka z palców.

<sup>41</sup> Pobliska wyspa.

<sup>42</sup> Wioska na wyspie Mailu nad zatoką Amazon w pobliżu Mogubo Point, część wioski Mailu.

<sup>43</sup> W Londynie Malinowski pracował zazwyczaj w czytelnicy (Reading Room) National Museum.

<sup>44</sup> Obsydian – odmiana szkliwa wulkanicznego bogatego w krzemionkę, najczęściej czarny.

<sup>45</sup> Maduna (Mailu) – coroczne święto, główne wydarzenie społecznego życia krajowców.

<sup>46</sup> R. Kipling, *Kim*, (oryg.) 1901

<sup>47</sup> Przywódca podklanu.

<sup>48</sup> Malinowski wspomina mieszkanie Rettingerów, które Tośka tak opisywała: „Zajmowaliśmy podówczas jedno z tych wygodnych, umeblowanych „apartments”, urządzone wyjątkowo niebanalnie przez artystę malarza. W czarnym saloniku, pełnym barwnych plam...”. T. Zubrzycka, *Syn dwu ojczyzn*, „Iskry” 1931, vol. 9, s. 141

<sup>49</sup> Wyspa na zachodnim końcu Zatoki Orangerie.

<sup>50</sup> Rev. C.W. Abel, z Londyńskiego Towarzystwa Misyjnego, autor broszury *Savage Life in New Guinea* (bez daty), którą Malinowski opisał jako „napisaną zabawnie, ale powierzchownie, a często niepewną”.

<sup>51</sup> Rev. J. Chalmers, misjonarz na wybrzeżu Zatoki Papuańskiej, autor książki *Pioneer Life and Work in the New Guinea*, 1895

<sup>52</sup> C.B. Higginson, rezydujący sędzia w Samarai.

<sup>53</sup> Leslie, właściciel hotelu w Samarai.

<sup>54</sup> Dobu, jedna z wysp Archipelagu D'Entrecasteaux.

<sup>55</sup> Intichiuma, australijska ceremonia magiczna, mająca na celu pomnożenie zwierzęcia totemicznego klanu. Malinowski w 1912 roku napisał na ten temat artykuł *The Economic Aspect of the Intichiuma Ceremonies*.

<sup>56</sup> Miało się tam odbyć święto Oilobo. Odprawia się je zawsze pod koniec roku i rozpoczyna w ten sposób okres postu przygotowującego do głównego święta w całym roku krajowców, mniej więcej dwa miesiące później.

<sup>57</sup> Pikana, informator z Mailu w średnim wieku, dzielił dom z Omagą i jego rodziną; Malinowski uważał, że był chciwy i przemądrzały.

<sup>58</sup> J.F. Cooper, *Tropiciel śladów*, (oryg.) 1840

<sup>59</sup> A. Dumas (ojciec), *Wicehrabia de Bragelonne*, 1848

<sup>60</sup> Ojciec Malinowskiego, Lucjan (profesor lingwistyki), był przełożonym bursy akademickiej dla studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego na Małym Rynku w Krakowie, gdzie też rodzina Malinowskich miała mieszkanie. Po śmierci Lucjana bursę prowadziła pani Malinowska.

<sup>61</sup> Ślebodziński, Głowczyński i Górski, to koledzy Malinowskiego studiujący z nim w Lipsku. Patrz poprzednie odcinki.

<sup>62</sup> Ignacy Wasserberg (ur. ok. 1880 – zm. 1942), studiował na Wydziale Medycznym i Filozoficznym UJ. W rodzinie Witkiewiczów był znany jako filozof. Ożenił się z Oderfeldówną, w której młodszej siostrze kochał się Staś Witkiewicz. W latach międzywojennych długoletni pracownik Ligi Narodów w Genewie.

<sup>63</sup> Leon Chwistek (1884-1944) logik, matematyk, filozof, malarz i teoretyk sztuki. Był przyjacielem Stasia Witkiewicza i Bronia Malinowskiego, który był jego kolegą gimnazjalnym i uniwersyteckim.

<sup>64</sup> Oro'u (Mailu) – duża podwójna łódź z żaglem w kształcie kleszczy kraba, uważana za najlepszą łódź morską w tym regionie.

<sup>65</sup> J. Layard, antropolog, autor książki *Stone Man of Malekula*, 1942

<sup>66</sup> Rami – spódniczka z trawy noszona przez kobiety.